

ROLA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.
W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.
W W. Ks. Poznańskiem: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.
W Galicyi: Rocznie zlr. 12.—Półrocznie zlr. 6.

PISMO TYGODNIOWE, SPÓŁECZNO-LITERACKIE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzje. Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.
Ogłoszenia do Roli przyjmują się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. wiersz.
Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Swiat Nr. 4.

LICHWIARZE WARSZAWSCY.

(Szkice z życia).

VI.

Dajmy teraz głos operowanemu z innej kategorii. Posłuchajmy co on powie. Człowiek to wiarogodny, emeryt, wysłużony kancelista starej daty, dobry człowieczysko, systematyczny aż do pedantyzmu, do przesady.

Oto co opowiada starszek:

— Drogi panie, przesłużyłem czterdzieści lat, uczciwie, nie spóźniłem się nigdy ani o kwadrans do biura, nie brałem wcale urlopów. Czterdzieści lat zeszło mi cicho, spokojnie, przy biurku. Żyłem skromnie, ale też nie miałem nigdy długów. Co pierwszego oddawałem całkowitą pensję mojej poczciwej żonie, a sobie zostawiałem tylko pięć rubli, na drobne wydatki, na cygarko, na kufelek piwa.

Opuściwszy urządowanie nie zmieniłem trybu życia. Taż sama oszczędność, taż sama punktualność co zawsze. Ale niestety, Bóg mnie dotknął ciężko. Poczciwa moja żona, dobra towarzyszką życia, najgodniejszą opiekunką, przyjaciółką, gospodynią, rozchorowała się śmiertelnie. Sprowadzałem najsłynniejszych lekarzy, ratowałem jak mogłem. Naturalnie mały zapasik grosza jaki posiadałem, wyczerpał się zupełnie, a moja biedna żona przeniosła się do krainy wieczności.

Bóg ją zabrał. Pogrzebałem ją uczciwie, oplakałem i zostałem na świecie sam jeden, w przepaści. Dopiero gdym żonę utracił, gdym nieco z pierwszego wrażenia ochłonął, spostrzegłem się gdzie jestem, bo ja, ja, panie dobrodzieju, wpadłem w dług — i dziś nie mam nadziei żebym kiedykolwiek z nich wyszedł. Tak panie, to jest prawdziwe piekło, otchłań z której się już nigdy nie powraca. Cudu chyba trzeba żeby się z niej wydobyć. Pytasz pan kto pożyczycy emerytowi? kto? Juźcić przyjaciel nie pożyczycy, bo sam biedny jest, instytucja nie pożyczycy — bo emeryt nie bankier, ani handlarz. Weksle jego nie mają żadnej wartości — trzeba się więc udać do lichwiarza...

Kolega wskazał mi gdzie mieszka taki jegomość. Poszedłem. Wspominałem panu jakie pobudki skłoniły mnie do takiego kroku. Byłem w położeniu bez wyjścia, a mając w domu prawie konającą żonę, pragnąc ją ratować, a przynajmniej ulżyć jej cierpieniom, nie mogłem wahać się, ani zastanawiać nad tem co czynię.

Ten jegomość, żyd, zwyczajny żyd, w długiej kapocie, obejrzał mnie naprzód od stóp do głowy, pytał ile mam

lat? — czy kiedy chorowałem? — czy nie cierpię na zawrót głowy? — jakie mam zęby, naturalne czy sztuczne? — czy pijam wino? — czy potrafię chodzić prosto z zamrużonemi oczami?... Gdybym stawał nawet przed radą lekarską, nie poddawano by mnie takim szczegółowym badaniom. Oburzała mnie ta indagacja, ale musiałem się poddać. Odpowiadałem szczerze, — bo przez całe życie szedłem drogą prostą, a fałszem brzydę się, — ten zaś, z całą bezczelnością, w żywe oczy zarzucał mi kłamstwo. Mnie! Prosiłem, żeby mi dał pożyczkę wyrównyującą mojej trzymiesięcznej pensji i zdawało mi się że zapłacę mu za to jeden, niechby wreszcie dwa procent miesięcznie. Byłem przygotowany na to, bo słyszałem że lichwiarze drą strasznie. On wszelako, w oczy mi się rozśmiał gdym wspomniał o takim układzie. Naprzód nie chciał słuchać o trzech miesiącach, oświadczył że nabeździe całą księżeczkę, do końca roku, to jest za miesiąc ośm czy dziewięć, bo już i nie pamiętam nawet. Deklarował wypłacić mi połowę tej pensji, a drugą połowę sobie jako procent zatrzymać. Oburzałem się na taki rozbój — on się śmiał.

Jak się panu podoba — mówił — ja inaczej nie robię, ja ryzykuję, kto mi zaręczy że pan przez te miesiące żyć będziesz? Pan jesteś emeryt, pan jesteś stary grat, pan tu zaraz możesz dostać apopleksyi, przewrócić się i umrzeć. Co warto emeryckie życie, co to za ewikcja? W oczy mi tak powiadał i śmiał się, z całą bezczelnością śmiał się, wprost w oczy. Żem wtenczas istotnie z oburzenia apopleksyi nie dostał, to dziw; ale wspomniałem sobie moją chorą biedaczkę, i... zgodziłem się na wszystko. Człowiek zawsze się ludzi, zawsze ma jakieś nadzieje. I mnie także zdawało się, że przecie jakoś z kłopotu wybrnę.

Nie byłem naówczas jeszcze taki stary jak dziś — sądziłem że znajdę zajęcie, że dostanę rządostwo domu, lub coś w tym rodzaju, że przynajmniej na mieszkanie zarobię. Udawałem się to tu, to owdzie, ogłaszałem w „Kuryerze“ — ale wszędzie zbywano mnie jedną odpowiedzią — „stary jesteś“. Nikt nie chciał wierzyć że mam jeszcze siły i chęci do pracy. Trudno się docisnąć — gdzie tylu ludzi się pcha. Gdy więc nie mogłem znaleźć zatrudnienia, gdy nie miałem środka powiększenia dochodów, jako jedyna deska ocalenia pozostała mi oszczędność. Zostawszy wdowcem, zacząłem skąpić. Stołowałem się w jakiejś marnej restauracyje, mieszkałem na trzecim piętrze, ale niewiele to pomogło. Zrujnowałem zdrowie, a z biedy, pomimo tego, nie wyszedłem.

Od czasu pierwszego zaciągnięcia długu, upływa oto dziewiąty rok i przez ten cały czas odbieram tylko połowę emerytury, druga połowa, a teraz nawet i więcej, idzie do kiężeni mego opiekuna.

Wychodząc z urzędowania, sądziłem, że jeżeli nie popełnię kryminalnego przestępstwa, to do samej śmierci korzystać będę z mojej skromnej emeryturki. Przystępstwa nie popełniłem, a emeryturę mam zmniejszoną. Mój Icek wcale nie urzędował, a przecież bierze za mnie tyle akurat, ileby mnie się za trzydzieści lat służby należało. A czyż on tylko za mnie bierze! On ma klientelę obszerną; masa emerytów i emerytek siedzi w jego kieszeni, a kto tam raz się dostał, ten już nie wydestanie się nigdy, bo na to nie ma sposobu.

Twierdzisz pan dobrodziej, że w prasie odezwały się głosy w naszej obronie, że powstało stowarzyszenie emerytów, że nareszcie ze strony władzy coraz to wychodzą rozporządzenia utrudniające lichwiarzom operacje podobnego rodzaju. Prawda, panie dobrodziej, święta prawda, niestety... Dla czego niestety? dla czego mówię o tem z westchnieniem? Bo panie, te środki nie pomagają; przeciwnie utrudniają nam życie, gdyż podnoszą i potęgują wymagania lichwiarzy. Emeryt, panie dobrodziej, z każdym rokiem musi większy procent opłacać, bo się starzeje, bo jest coraz bliżej grobu, a zatem ryzyko lichwiarza się zwiększa. Każdy zaś środek przedsięwzięty w naszej obronie, utrudnia bardziej jeszcze ów oplakany i nieszczęśliwy nasz kredyt, Niewola to egipska, panie dobrodziej, niewola, ale cóż poradzić, co począć? Cierpieć, cierpieć i cierpieć, dopóki nie złożą ostatecznie człowieka do wielkiego archiwum na Powązkach. Gdybym był młody, silny, pełen życia, możebym potrafił się bronić.

Nawet nie może, ale na pewno, wyteżyłbym siły wszystkie, pracował dzień i noc, rwał się, szamotał, aby tylko wydobyć się z nieszczęścia, ocalić... ale starzec z pierśią wklęsłą, siłami starganymi, z dłonią drżącą—cóż zrobić? Muszę cierpieć z rezygnacją i oczekiwać końca życia...

Tak, tak, mój dobrodziej; otom ci powiedział co chciałeś... A teraz pczwól, że zaniósę do ciebie najuprzejmiejszą i najpokorniejszą prośbę.. Nie pisz o naszej rozmowie... Oni czytają... o tak! czytają... i gdy zadrukowany papier wpadnie w rękę Icka, to znowu będzie pretekstem do podwyższenia mi procentu—a już i tak ledwie że ledwie, z tego, co mi on raczy z mojej emerytury zostawić, ledwie że ledwie, powtarzam, podtrzymuję resztki gasnącego życia... Nie pisz więc, nie pisz, bo są sytuacje, w których niepodobna, nie sposób głowy podnosić. Lepiej nie drażnić...

Temi słowy zakończył opowiadanie swoje staruszek.

„NARWAŃCY“

POWIEŚĆ

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

(Dalszy ciąg.)

— Widzi pan — odezwał się — istnieje u nas rubryka, na którą przesadnie puryści sarkają.

Zamilkł na kilka sekund.

— Każde pismo, proszę pana—mówił dalej—ma swoje sprawy osobiste, które rozstrzyga za pomocą ostrego, kołatego, często nawet bolącego słowa.

Powtórnie przestał, przypatrując się Bolesławowi.

— Jest polemika dwojaka, tak zwana przedmiotowa, trzymająca się tylko samej rzeczy, i osobista, uderzająca wprost na przeciwnika. Ta polemika druga, na którą się gorliwcy zrywają, działa daleko skuteczniej. Z pańską werwą i ciętością mógłbyś sobie odrazu zdobyć wybitne stanowisko, gdybyś chciał objąć naszą kronikę. Cóż, zgoda? O materiały niech się pan nie kłopotuje. Dostarczę go panu sam.

Wyczekując, jak kot chciwy łupu, patrzył pan Młodowski na Bolesława i skrzywił się, gdy usłyszał odmowną odpowiedź.

Umarł niedługo potem w szpitalu, umarł na jesieni w Listopadzie. Icek poniósł bolesną stratę, bo nie dostał emerytury za całe półtora miesiąca. To go tylko pociesza, że przez dziewięć lat z rządu pobierał połowę pensji, na którą ten nieborak czterdziestoletnią pracą zasłużył — i to, że ma jeczce dużo, bardzo dużo takich samych nieboraków — i to nareszcie, że w tym czasie nabył już trzecią nieruchomości.

(d. c. n.)

PRZEGLĄD SPRAW ZIEMIAŃSKICH.

Nadchodzące wybory do władz Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i stara na ten temat piosenka.—Interes publiczny a względy i względziki prywatne.— Czy będzie inaczej? —Targi podczas zjazdów ziemianstwa.—Ich cel i pożytek.—Pośrednictwo „Rolnika i Hodowcy“ w sprzedaży bydła stepowego.—Podwójny zawód.—Ciekawa odpowiedź redakcyjna i ciekawsza jeszcze zagadka psychologiczna. — Ponowna inicjatywa w sprawie spółek mleczarskich.

Nadchodzą znów wybory do władz Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, i znów zapewne odezwią się głosy zwracające uwagę wyborców na ważność mandatu, jaki udzielają—wybrany. Od lat kilkunastu powtarza się, mniej więcej, to samo; a jakkolwiek głosy owe przebrzmiewały zwykle bez widocznych skutków w praktyce, to jednak są one znakiem, że opinia w dopełnianiu wyborów na radców, pragnie widzieć coś więcej, niż akt czczej tylko formalności.

Ale bo też naprawdę, nigdy może jak dzisiaj, w chwili gdy stan rolniczy walczy u nas z tak trudnymi warunkami, jakich dotąd nie znał — reprezentacja stanu tego w jedynej instytucji mającej opiekować się sprawami krajowego rolnictwa, nie była rzeczą tak ważną i poważną. I sam ten fakt, samo dzisiejsze położenie właścicieli ziemskich, powinnoby w pojęciu i przekonaniu wyborców stanąć wyżej ponad wszelkie względy i względziki prywatne. Tak nam się zdaje i jesteśmy pewni że tę samą opinię podziela ogół wyborców. Podziela niezawodnie; tylko że gdy przyjdzie chwila stanowcza — chwila oddawania głosów — dzieje się zwykle inaczej. Miękki w ogóle nasz charakter, miękkie wówczas bardziej jeszcze, i z najpiękniejszych postanowień pozostaje — dym. Względy, stosunki osobiste biorą górę, niestety, nad interesem publicznym i... z urn wyborczych wychodzą często ludzie, uczciwi wprawdzie, bardzo nieraz uczciwi, ale, do spełniania równie szczytnego jak ważnego, mandatu, nie posiadający odpowiednich warunków.

Zaiste, bylibyśmy szczęśliwi, gdybyśmy w swoim czasie mogli w piśmie naszym zaznaczyć, że przy obecnie nadchodzących wyborach stara ta, znana i oklepana historia już się nie powtórzyła, — że poczucie dobra ogólnego zwyciężyło nareszcie pobudki i... małostki prywatne.

— Mniejsza zresztą o to — rzekł. — Zrobi to kto inny. Cóż by tu jednak dać panu do obrobienia?

Pan Młodowski spoglądał na sufit. Po chwili zwrócił się żywo do Bolesława.

— Może mi pan napisze jeden lub więcej artykułów o szkodliwości gazet reporterskich — wyrzekł. Praca taka będzie w tonie pańskim. Rozmówmy się jeszcze w tym względzie. Jeżeli się nie mylę, mówił mi pan, że znasz dobrze język francuzki?

— Władam rzeczywiście dobrze tym językiem— odpowiedział Bolesław.

— Składa się to wybornie, bo mam właśnie ekonomiczne dzieło francuzkie, które chcę umieścić w mojej popularnej biblioteczce. Gdybyś je pan zechciał przełożyć, byłbym panu bardzo wdzięczny. Uprzedzam jednak, że nie mogę zapłacić więcej, jak pięć rubli od arkusza druku, bo za przekład nie daję wyżej.

Bolesław wziął grubą książkę i opuścił z nią redakcję „Gwiazdy“.

Kiedy wychodził z bramy, zaszeleściła tuż okok niego suknia materyalna. Spojrzał i stanął. To posuwała się Miłeczka po trotuarze, lekka, wdzięczna. Wzrok jej musnął go obojętnie.

On patrzył za nią długo, mówiąc do siebie:

— Piękna... dziwnie piękna..

Czekajmy więc, a tymczasem przejdźmy, choć na chwilę, do sprawy, będącej z wyborami w bardzo bliskim związku. Chcemy mianowicie wspomnieć o projekcie urządzania w miastach gubernialnych, targów podczas zjazdów ziemian. Celem targów ma być, rozumie się, wyrobienie korzystniejszego zbytu dla produktów rolnych, a zwłaszcza dla inwentarza; niemniej na targi te dostarczane będą maszyny i narzędzia rolnicze. Z inicjatywy—jak już o tem wspominaliśmy w „Roli”—kilku obywateli z kaliskiego, targ taki ma się już w tym roku odbyć w Kaliszu; wątpić zaś nie można, że i inne okolice, oraz inne miasta gubernialne pójdą za tym przykładem. Rzecz w zasadzie dobra i praktyczna; życzyć więc jedynie należy umiejętnego jej przeprowadzenia. Zbyt produktów rolniczych, jest u nas, tak jak nigdzie, w stanie nieomal rozpaczliwym; jest on bowiem zmonopolizowany w ręku kasty obcej i pasorzytnej. Praca cała rolnika, cały raczej jej owoc, zależnym jest—strach pomyśleć—od z m o w y kilkunastu albo nawet kilku handlarzy miasteczkowych, operujących w danym promieniu na mocy prawa *hazuki*. Im przeto więcej znajdzie się w ręku producentów sposobów, przy pomocy których zdołają się chronić od skutków monopolu, tem lepiej dla nich.

Tylko że niestety, najczęściej się zdarza, iż producenci sami nie chcą czy nie umieją z tych sposobów korzystać. Zdaje się, jakby jakieś fatum tłumilo wszelką w tym kierunku inicjatywę.

Oto przykład. Od dawna wiadomo że handel bydlęm stepowym, a zwłaszcza cała dostawa tegoż do Warszawy, jest także w monopolu. Klika zsolidaryzowanych handlarzy, płaci za woły stepowe, tam na miejscu, co sama chce, i dostawia je w takiej tylko ilości, przy jakiej może osiągnąć znów ceny możliwie wysokie. Konkurencji nie ma tu żadnej, a więc i rzeźnicy warszawscy są zależni również od tegoż samego monopolu. Tracą, wobec takiego położenia rzeczy, hodowcy bydła, traci i ogół konsumentów, a nade wszystko jego warstwy biedniejsze, dla których każdy grosz na funcie mięsa stanowi poważną już różnicę.

Stare to rzeczy i ogólnie znane, tak samo jak stare i znane jest dopominanie się nawet naszej wielce potulnej opinii o wydobyć handlu o jakim mowa, z rąk starozakonnych monopolistów. Jakoż, po wielu próbach dawniej już przedsięwziętych a zwykle bezowocnych, zjawia się świeżo inicjatywa praktyczna. Redakcja „Rolnika i Hodowcy“ ogłasza, iż bierze na siebie pośrednictwo w sprzedaży bydła stepowego, dostawionego na rynek warszawski. Cała manipulacja polegała na tem, iż właściciel wołów zawiadamiał redakcję „Rolnika i Hodowcy“ o ilości wysłanych wołów, — redakcja zaś, bez udziału naturalnie faktorów, miała je sprzedawać rzeźnikom, po cenach w danej chwili praktykowanych. Jakoż deklaracje i zawiadomienia były, ale... nie było małej rzeczy: wołów. Redakcja „Rolnika i Hodowcy“ nietylko siebie samą, ale i rzeźników naraziła na zawód, a żyd zatrzymował! Bo i w tej właśnie chwili

czytam w rubryce „odpowiedzi redakcyjnych“ wspomnionego pisma: „My byliśmy na posterunku i gotowi do usług. Że zaś sz. pan uznał za lepsze—idące woły sprzedać już w Brześciu, i to po 46 rubli (naturalnie żydom), musiał pan przeto ponieść wielką stratę. Wiemy od agenta o jakości pańskich wołów. Za takie same dostawione nam (przez pana Jakubowskiego) przed dwoma tygodniami, osiągnęliśmy cenę: po 67 rubli“. Bagatela! Po 21 rubli na sztuce zyskał więcej żyd, a stracił właściciel. Dlaczego? Dlatego, że wolał je sprzedać w drodze żydom, niż w Warszawie za pośrednictwem „Rolnika i Hodowcy“.

Doprawdy, to dobrowolne ponoszenie strat na korzyść spekulantów, jest już chyba tak zawiłą zagadką psychologiczną, że o rozwiązanie jej próżnoby się ktoś kusił. Nie wiemy też czy „Rolnikowi i Hodowcy“ lepiej się powiedzie ze sprawą spółek mleczarskich. Ruchliwa redakcja rozesłała już szematy dla zebrania odpowiednich danych, poczem ma przystąpić do organizacyi tych przedsięwzięć, nieraz już również i na różne tony ogadywanych a tyle pożądaných w gospodarstwie wiejskiem. Pachciarstwo nietylko nie daje nic rolnikom, ale nadto jest plagą i środkiem do utrzymywania się po wsiach elementów rozkładowych—podczas gdy rozumna organizacja mleczarstwa przy pomocy spółek, może zapewnić każdemu gospodarstwu jedno z najważniejszych źródeł dochodu. Obyż więc inicjatywa „Rolnika“ nie spotkała się i tym razem z obojętnością najbliżej, w sprawie tej, zainteresowanych.

FRANCYA ŻYDZIAŁA.

STUDYUM Z HISTORII WSPÓŁCZESNEJ

przez Edwarda Drumont.

Tom II.

Paryż żydowski i społeczeństwo francuskie.

(Dalszy ciąg.)

Jest zresztą w Paryżu pięciu albo sześciu pufistów, zawsze tych samych, którzy są prawdziwymi plagami egipskimi. Oni odejmują nawet poezję temu ogólnemu smutkowi, który dziś panuje wszędzie; przeszkadzają temu światu, który czuje że ustąpić musi, wejść w siebie i zakończyć żywot swój przywoicie. Ciągłe są w ruchu, ciągle się afiszują, zajmują bezustannie Paryż swoją próżną a hałaśliwą egzystencją; mają oni pociąg wzajemny do siebie i służą sobie wzajemnie za echo. Sarah Bernhardt nie może zrobić kroku, żeby Wolff o niej nie trąbił; Artur Meyer mięsza się w to zaraz, Marya Colombier interweniuje i robi się hałas, wśród którego słyszeć się niepodobna. Gdy się już zdaje że się uspokoiło, ukazuje się Derouleda, a zaraz potem

VI.

Pani Zofia Sędzicka, redaktorka tygodnika „Przyjaciel“, wydawanego dla kobiet, zajmowała obszerne mieszkanie przy ulicy Włodzimierskiej.

Pani Sędzicka, osoba lepszego towarzystwa, niegdyś obywatelka ziemiska, obecnie żyjąca z renty, powiększonej przez honorarya literackie, lubiła gości, którym poświęcała stale, od lat kilku jeden dzień w tygodniu, przez cały sezon zimowy.

Zbierał się u niej w każdą środę świat literacko-artystyczny wraz z owymi natrętami bez wyraźnego zajęcia, którzy czepiają się najchętniej ludzi znanych, a których posiadają wszystkie miasta wielkie.

Uprzejma gospodyni witała mile „znakomitych“ i nowicyuszów i nie zanudzała łaskawych na nią ani odczytaniem swoich utworów, ani sztywną etykietą, przestrzegając ściśle w salonach innych „sawantek“.

Do pani Sędzickiej można było przyjść bez fraka i białego krawatu. Autorowie nie potrzebowali przynosić z sobą rękopisów, krytycy min poważnych i gotowych pochwał, muzycy instrumentów, aktorowie masek teatralnych.

Były to więcej zwykłe zebrania towarzyskie, przyjemny odpoczynek dla robotników, których szary świt zastaje nieraz przy pracy.

Pani Sędzicka czekała dziś na swoich gości, krzątając się po ogromnym, podłużnym salonie.

Nizka, nieco otyła, mimo to ruchliwa, żywa, biegała od stolika do stolika, tu podnosząc światło lampy, tam łagodząc jego blask zbyt obfity przezroczystą zasłoną.

Ogarnawszy jeszcze raz badawczem spojrzeniem cały pokój, i przekonawszy się, że wszystko na właściwym znajduje się miejscu, zbliżyła się pani Sędzicka do kominka, na którym płonął ogień z wesołym trzaskiem. Wzięła w rękę pogrzebacz i zaczęła poprawiać drwa, załamujące się w gorących objęciach żarłocznego żywiołu, gdy dzwonek oznajmił pierwszego gościa.

Był nim pan Erazm Kostromski, ceniony krytyk literacki, dawny przyjaciel domu Sędzickich.

Wszedł wolnym, poważnym krokiem, z czapką pod ramieniem, ubrany w czarny tużurek, zapięty pod samą szyję.

— Dziękuję, dziękuję uprzejmie kochanemu panu, że nie zapominasz o starej nudziarce—zawołała pani Sędzicka, podając przybyłemu rękę.

On uklonił się krótko, schylając tylko głowę, i uściśnął prawicę gospodyni.

Spoczęli na miękkich fotelikach, otaczających okrągły stół, znajdujący się w środku salonu.

Żywiej buchnął ogień na kominku i oświecił oryginal-

pani Adam przewraca miasto do góry nogami, aby uorganizować jakąś uroczystość.

Newroza żydowska widocznie wielką rolę gra w tej ruchliwości; jakoż jest to rzecz nienaturalna, żeby ktoś nie mógł pozostać ani chwili w spokoju i pozostawić w spokoju drugich. Dla tych namiętnych amatorów afiszowania się, sen nawet zdaje się nie istnieć; im się zdaje, że nie żyją, kiedy nie słyszą hałasu dokoła siebie.

O tym szczególniejszym stanie umysłu, który zdradza niezaprzeczone zamieszanie w systemie nerwowym, trzeba ostatecznie zasięgnąć zdania u p. Legrand du Saullé, który w książce swojej „O hysterii“ zaobserwował i opisał dokładnie chorobliwą stronę tych objawów. Uczony lekarz tłumaczy bardzo jasno, jakim sposobem nawet cnoty stały się dla tych istot teatralnych okazją występowania, popisywania się na scenie. Dobroczynność przestała być popędem serca, który nas skłania do złożenia tego co nam zbywa, a częstokroć nawet tego co nam potrzebne, na dyskretną ofiarę dla cierpiących; jest to dzisiaj akt szarlatanizmu, który się dokonywa przy odgłosie wielkiej orkiestry, na który się zwołuje tłum uderzeniami w tołumbas, aby się nam przyglądał; to tryumf tej ostentacji, którą Bossuet nazywa „plagą dobrych uczynków“ (*la peste des bonnes oeuvres*).

Pomiędzy temi, które daleko posuwają tę monomanię afiszowania się, pani Adam idzie zaraz po Sarze Bernhardt. Wiem jakie względy należą się płci i nie myślę im uchybiać. Zdaje mi się jednak rzeczą potrzebną naszkicować w tej książce tę postać ciekawą, choć w gruncie rzeczy nie oryginalną, która w ostatnich latach zajmowała pewne stanowisko.

Czy to żydówka? Nie wiem. Nazwisko nie stanowi tutaj dokładnej wskazówki. Lambert, mąż jednej z Rotszyldówien, jest żydem, generał Lambert także, ale są Lambertowie nie żydzi. Edmund Adam był, bądź co bądź, znakomitym okazem żyda polityka i finansisty, oswobodzicielem ludu i zdobywcą milionów. Pani Adam, mówiąc o swoim mężu w dziennikach żydowskich, lubiła go nazywać „rycerskim Edmundem Adamem“ (*le chevaleresque Edmund Adam*). W czym on okazywał tę rycerskość? Jest to jedna z tych zagadek, których nie podejmujemy się rozwiązać.

W starych kronikach, podobnie zresztą jak w Homerze, pewne epitety przyczepione do nazwiska, nie odstępują go już nigdy; służą one do określenia, do scharakteryzowania postaci. Podobnie dzieje się w pewnych sferach paryzkich. Tak samo jak Anatol de la Forge zowie się zawsze „un galant homme“, nawet wtedy gdy aprobeuje wydarciu chleba biednemu 80 letniemu księdzu, Déroulède jest zawsze „patriotycznym Déroulèdem“, Delpit „naszym sympatycznym kolegą“. Adam był „rycerskim Adamem“.

Mając udział w spekulacjach Kantoru dyskontowego, rycerski ten człowiek dowiódł swojej rycerskości gromadząc ogromny majątek, dzięki wyprawie do Meksyku. Jak mógł tak czysty republikanin zmaczać rękę w tem, co nazywano

ny wygląd pana Kostromskiego. Pokryta na czaszce i na twarzy siwym, przystrzyżonym, jak szpilki ostrym włosom, i powleczoną żółtą, zwiędłą skórą, nie należała głowa sędziwego literata do pięknych. Na tem tle pargaminowem błyszcząca para czarnych oczu, nie pociągających w pierwszej chwili ani bystrością ani głębią. Było coś martwego w tem obliczu krytyka, coś klującego.

— Stara gwardya nie spóźnia się — odezwał się Kostromski, zdejmując rękawiczki.

Głos jego był suchy, jednostajny, a słowa spadały z ust w przestankach, zgłoska po zgłosce, jak krople deszczu, spływające z rynny na chodnik ulicy.

— Dzisiaj w teatrze premierka, więc młodzież przybędzie dopiero po przedstawieniu — tłumaczyła pani Sędzicka.

— Wiem. Grają jakąś farsę francuską. Nie poszedłem, bo mi te idyotyżmy bulwarowe gruntownie zbrzydły.

— Panowie zachowawcy nie lubią tłustości nadsekwanskich — mówiła pani Sędzicka.

Dźwięczny, prawie dziecięcy śmiech towarzyszył tym słowom. Nie było w nim ani cienia szyderstwa, ani śladu chęci ukąszenia.

Zanim się pan Kostromski namyslił co odpowiedzieć, rozległ się znów w przedpokoju odgłos dzwonka.

Do salonu wsunął się drugi starzec, mniej sztywny od Kostromskiego.

„hańbą cesarstwa“? Trzeba nie znać interesów, żeby się dziwić. Żołnierzy naszych, za republiki, dla utuczenia żydów dziesiątkuje gorączka tyfoidalna w Tunetanii albo cholera w Tonkinie; za cesarstwa dziesiątkowało ich *vomito negro* w Meksyku — oto cała różnica. Tłum zresztą jest do tego wytresowany. Gdyby jakiś człowiek pełen poświęcenia, jakiś zbawca, wierny sługa wydziedziczonych stanął był do wyborów jako współzawodnik Edmunda Adama, robotnicy nie byłiby go wybrali. Lud daje się zawsze w pole wyprwadzić żydowi demokracji, który go oszukuje pięknymi słówkami, a bogaci się jego kosztem; on go kocha, to jest szaleństwo, Francya na to umiera, to nasze nieszczęście.

Po śmierci Adama wdowa jego, która otoczyła pewnego rodzaju aureolą to zero, mające spryt jedynie do swoich interesów, postarała się o aureolę dla siebie. Robert de Bonnières pokazał nam ją stawiającą kabałę dla Gambetty i zwiastującą mu, że wyszły same trefle, co, jak wiadomo, znaczy pieniądze. Na te prorocтва wzięła ona tych ateuszów, zabobonnych w głębi duszy jak kafiry. Była ona rodzajem Cailhavy *junior* i zajęła pewne stanowisko, wróżąc przyszłość ludziom, którzy nie mieli przyszłości.

Była wtedy rzeczywiście piękną, miała pewien rodzaj salonu, co zachwycało wszystkich tych cyganów, którzy dotąd nie bywali nigdzie, tylko w szynku. Całemu temu tryumfującemu żydostwu, ukazywała się zawsze z miną królowej Saby. Lubo nie miała, jak czarodziejka Flaubert'a, „sukni z brokateli, obszytej falbanami z pereł, opalów i szafirów, podpiętej dwunastoma znakami zodyaku“, ubierała się bardzo dobrze. Przez chwilę spodziewała się posłubić Salomona będącego w całej swej chwale; ale Gambetta nie bardzo miał się ku niej, a ona znów nie chciała tego grubszego Jereboama, Spullera, i miała rację.

Te szczęśliwe chwile minęły. Gdy kursa oportunistów poczęły spadać, pani Adam próbowała dawać przedstawienia zagranicą. Ten *pufizm* paryzki, te maniery kawalerskie, nie są przedmiotami kwalifikującymi się na eksport zagraniczny. W Rosyji wyższe sfery z łatwą do pojęcia energią odmówiły przyjęcia wdowie po żydzie rewolucyonistcie, który przyczynił się do popchnięcia swej przybranej ojczyzny w nieład i anarchię. W podróży swojej do Wiednia, w Marcu 1884 r., pani Adam znalazła wszystkie drzwi zamknięte; z całej arystokracji austriackiej, którą wyobrażała sobie zapewne gotową na przyjęcie jej z otwartymi rękoma, widziała się tylko z Rotszyldami, u których była na obiedzie. Ambasada francuska, która otwarła się na oścież dla Wolffa w r. 1870, okazała się gościnną dla podróźniczki. P. Adam zaproszona została na obiad przez p. Foucher de Careil, „jedynego kandydata ozdobionego orderem ręką cesarską“, który przed wojną chodził od dziennika do dziennika, i przynosił nam reklamy dla swoich konferencyj na bulwarze Kapucyńskim. Pamiętam to, gdyż w dzienniku „Liberté“, mnie, jako nowicyuszowi, przypadło w udziale przyjmować tego peryodycznego natręta, który

Pan Edward Rolski, redaktor „Wiązanki“, zbliżał się do pani Sędzickiej z grzecznym uśmiechem na ustach, kłaniając się po drodze. Szedł szybko, drobnym kroczkiem, pochylony cały ku przodowi, z kolanami wysuniętymi, jak gdyby nie panował nad własnymi ruchami.

Niemodny tużurek wisiał na nim z niedbalstwem rannej opony, olbrzymi stojący kołnierzyk, pamiętający upodobania ubiegłej epoki, sterczał po obu stronach jego gładko wygolonych policzków. W rękę trzymał jakiś ogromny cylinder, używany przed dwudziestu laty.

Jeszcze nie zdążył się pan Rolski przywitać z panią Sędzicką, bo potrzebował do tej czynności dużo czasu, gdy do salonu wszedł ktoś trzeci, młodszy od dwóch poprzednich o lat trzydzieści.

— Ach, pan Teodor, jaki zaszczyt! — zawołała pani Sędzicka. — Znalazł pan przecież trochę czasu, aby odwiedzić życzliwych. Prawdopodobnie opuścił pan dla mnie, starej, daleko weselsze towarzystwo.

Pan Teodor Milski, belletrysta, niski, otyły, na krótkich nóżkach, trzymający się zanadto prosto, wygięty górną częścią ciała w tył, odparł słodziuchnym głosem:

— Dowcipna kobieta nie starzeje się nigdy.

— O, pochlebca!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

przychodził z regularnością epidemii, i którego chłopcy redakcyjni znali po chodzie.

Takie przyjęcie wydało się za skromnem redaktorce „Nouvelle Revue“ i „Gaulois“ Artura Meyera słuszne z tego powodu objawił oburzenie; on pragnął „uczci na trzysta osób, pochodów z pochodniami przebiegających uilluminowane ulice, defilad całych ludności z chorągwiami na czele, owacyj entuzjastycznych“. Ale cóż począł Bismark i pani Adam są ze sobą bardzo na bakier, to rzecz wiadoma powszechnie, więc Niemcy zagroziły wysłaniem trzech kroć stu tysięcy ludzi na granicę, w razie gdyby Wiedeń pozwolił sobie żywszych demonstracyj. Austria stała się posłuszną „hasłu wydanemu z Berlina“. „Organizowała dokola pani Adam, — nieprzyjaciółki Bismarka — spisek milczenia. Nie mówiono ani słówka o autorce Greka i Poganki, z obawy niezadowolenia mściwego kanclerza“.

Takich rzeczy nie wynajduje się, ale wolno je zrywać jako soczyste owoce wyprodukowane w cieplarniach reklamy, i oprawić je stosownie niby perły, mające przypominać naszym wnukom, jak dalece można było drwić sobie z nas.

Wobec obojętności ludów i gabinetów, pani Adam wykonała odwrót ku swojej podstawie operacyjnej. *Bas bleu* przeważała w niej nad królową; tylko że ta niebieska pączochka u pani Adam zawsze była bawelniana. Nie jest to ani Korynna, ani Safo, ani Lelia, ani nawet Olimpia Andouard. Jest to muza departamentalna, przypominająca Hermancję Lesguillon, literatkę z r. 1830, która nosiła saboty i parasol, i biła niemi barbarzyńców osmielających się pozostać zimnymi wobec jej prozy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NA WYSPIE ZELANDYI.

Z notat podróznego

przepisał

St. PIAST.

(Dalszy ciąg.)

Duńczyk, chcący studyować Thorwaldsena, nie potrzebuje tak dalekich odbywać pielgrzymek, wszystko bowiem co mistrz ten w świat z pod swojego dłuta wysłał, znajduje się na jednym miejscu. Powiadam wszystko, — jeżeli bowiem niektóre z oryginałów jego uwieźły w różnych miejscowościach Europy, w Kopenhadze stoją bardzo dokładne kopie; jeżeli marmur przystraja kościoły Londynu, publiczne place Niemiec, lub katedrę na Wawelu (Potocki), to w Kopenhadze pozostały gipsowe odlewy. Jednem słowem, bądź w marmurze, bądź w gipsie, masz w stolicy Danii wszystko, ale to bez wyjątku wszystko, na co się zdobył geniusz Thorwaldsena, — co on zaklęciem czarodziejskiej potęgi wysnuł ze swojego ducha. A to wszystko zaiste imponuje ogromem.

Bo istotnie: kilkadziesiąt figur naturalnej wielkości, kilka konnych, kilka wielkości nadnaturalnej, z jakie parę setek płaskorzeźb, wreszcie mnóstwo modeli i szkiców, — oto skarb, jaki ojczyźnie swojej pozostawił rzeźbiarz znakomity, oto plon jego życia.

Skarb nieoszacowany, plon obfity, świadczący i o wielkiej pracowitości mistrza, i o wielkiej miłości jego dla kraju, któremu to wszystko za życia jeszcze złożył w ofierze.

Ale, powtarzam, wejdźmy do wnętrza gmachu. Wejdźmy i uczcijmy przedewszystkiem cienie tego, którego duch tu panuje i panować będzie przez wieki.

Na niewielkiem podwórzu, wśród kwiecica i zieleni, widnieje grób. Skromny, bez pomnika, pociąga on przecie do siebie wszystkich, którzy wstępują do tego przybytku, bo kryje szczątki drogie całej Danii, drogie każdemu, kto piastuje w duszy wzniosłe ideały sztuki. Tu spi snem wiecznym Thorwaldsen. Oryginalny, ale i rozrzewniający pomysł, wzniesienia tego przybytku śmierci tam, gdzie tyle spotyka się dowodów życia, przynależny samemu Thordwalsenowi. Ukochawszy dzieła geniuszu swego miłością bez granic, bolał on, że się z niemi rozstać będzie musiał; za życia więc już postanowił spoczywać pośród dzieł swoich, i święcie spełniający jego życzenie duńczycy, tu go, wśród dzieł jego, pochowali.

Oryginalny, ale i rozrzewniający zarazem widok.

Nie na cmentarzu, gdzie spoczywają ciała śmiertelnych, ale w świątyni nieśmiertelnej sztuki leży ten, który głową przerósł za życia wszystkich współczesnych, który nie może być im równym i po śmierci. Leży, a na grób jego spoglądają nie pomniki niebieszczyków innych, za pieniądze głoszące rodzinną ich sławę i powszednie zasługi, ale spoglądają: Wenus wdzięczna i nęcąca wdzięków swoich krasą, „Poniatowski“ o marsowem, bohaterskiem obliczu; dalej: Apollo piękny jak dziewica, potężny jak starożytny bóg, Kopernik, Merkury, Szyller... Spoglądają i spoglądać będą dopóty, póki ząb czasu nie skruszy na proch tych marmurów, póki nie zetrze na miazgę tych bronzów, — póki człowiek piastować będzie w duszy świętą miłość piękna, prawdy i dobra.

Od spiżu trwalszy pomnik dźwignął tu sam sobie wielki artysta, ale bo też od spiżu trwalszą jest jego zasługa, trwalszą chwała, jaką rozlał na całą Danię. A taka zasługa i chwała, zaiste takim tylko pomnikiem znaczoną być powinna, zwłaszcza teraz, kiedy lada bankier kupujący złotem wznosi sobie mauzolea, zdobiąc je posągami, zakupionemi po bajecznie wysokich cenach u tuzinkowych najczęściej pseudo-artystów.

V.

„Wenus z jabłkiem“, „Trzy Gracy“, „Apollo“, „Merkury“... Trzy te posągi godne są stanąć obok najznakomitszych pomników nowoczesnej sztuki; co więcej, prześcigają je nieskończenie. Czem prześcigają? Oto delikatnością i miękkością wykończenia. Patrzącemu na te postacie zdaje się, że mistrz duński nie kuł ich w kamieniu, ale pieścił dłutem cienkiem jak igielka, — tyle tu wdzięku, słodyczy i delikatności. Marmury te gną się, załamują w fałdy, poddają nieledwie podmuchowi wiatru. Rzekłbyś, że to są niebianie rzeczywiści, którzy na orlich skrzydłach spłynęli z Olimpu na nasz padół płaczu i za chwilę odlecą znów do swoich siedzib, — tyle w nich życia, tyle ruchu, tyle krwi...

Ta „Wenus“, co tu oto, w tym czerwonym gabinecie, stoi i w ręku jabłko trzyma, toż to nie kto inny tylko ta, co spotkawszy w lesie nieznanego, urokiem postaci przykuła go do boku swego na zawsze. Tamta przynajmniej inaczej wyglądać nie mogła. Spokojna, z głową pochyloną, naga, ale nie tą nagością bezwstydną, która przejmuje zmysłowością na obrazach Makarta; patrzy ona na cie tak, że oczu od niej oderwać nie możesz, że jesteś jakby urzeczony jej krasą. Ciało jej, to prawdziwy arcytwór harmonii, każda linia jest tu jakby nawskroś przesiąknięta wdziękiem, każdy gest o wdzięku tylko mówi.

Stoisz przed nią i pytasz sam siebie: czy krasa taka jest, czy była kiedykolwiek udziałem ziemianek, i czy rzeczywiście nie trzeba było wstać aż do świata fantazyi, aby powaby te nie wydały się prostem... niepodobieństwem.

A ta „Wenus“, choć tak piękna, choć tak idealnie wspaniała, nie wyczerpuje przecie wszystkiego, co Thorwaldsen chciał przedstawić pod postacią piękności kobiecej. Nieopodal stoją „Trzy Gracy“, jedna powabniejsza od drugiej, jedna uzupełniająca drugą; wszystkie trzy znowu uzupełniają „Wenus“, wszystkie trzy są przez „Wenus“ uzupełnione. Można powiedzieć, że te cztery posągi, to cztery kąty kwadratu niewieściej doskonałości fizycznej. Ponad to sztuka nic więcej nie stworzyła, i rozślawiona „Wenus z Milo“ ani o włos dalej nie poszła. Może być, że ta ostatnia ma w sobie więcej siły, ale nie ma więcej harmonii; może być że jest pożądliwszą, ale powabniejszą nie jest. Cały powab mieszkanki Północy, z klasycyzmem form cór Grecyi, oto charakter kobiet Thorwaldsenowskich, — a wszystkie owiane taką poetycznością, że godne są nosić miano samej nieledwie poezyi. Powtarzam — ponad nie, sztuka wyżej w tym kierunku nie poszła.

Pieszczotliwość Thorwaldsenowego rylca odbija się nawet na jego postaciach męzkich. Wszystkie one (mówię teraz tylko o nagich) tchną delikatnością, brak w nich siły i energii, cechujących ideał męczyzny. Widnieje to, gdy porównasz jego „Apollina z lirą“ z Belwederskim bożkiem piękna! Obadwaj są piękni, ale pierwszy zaklął w swoim ciełe całe skarby harmonii, podczas gdy drugi przemawia głosem potęgi; pierwszy do pieszczot zachęca i osmiela, drugi niejaki strachem przejmuje.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

SZLOMA Z ROZDOŁÓW.

Przez
Wincentego hr. Łosia.

(Dalszy ciąg.)

— A już cię, tyle było w Rozdołach dziedziców — mówił parobek — a nie bywało takich porządków i zamykań, takiego skąpstwa... Miał dziedzic, miał i sługa... teraz? chcieliby z człowieka duszę wydrzeć... a nie dać, tylko co zgoda. A gdzieby człowiek wyżył i okrył się z tych dwunastu korcy ordynaryi i z tych dwudziestu rubli?

— Czasy drogie — przerwał znów Szloma — buty trzydzieści złotych, sukmana siedm rubli, a korezyk pszenicy do ośmiu dochodzi.

— A ino — zawołał znów chłop — ale czas już do chałupy.. dajcie worek i rubla.

— Co rubla?... co ci się śni?... co gadasz bez rozumu? — zawołał Szloma.

— Toć sami mówicie, że pszenicy korezyk stoi ośm rubli, tać połowę dajcie.

— Co stoi? gdzie stoi? — wołał żyd — co ci stoi? ośm rubli! patrzcie go! ośm rubli pszenica kradziona... żeby jeszcze...

— No, cicho... cicho... — przerwał parobek, wstając, — dajta, co chceta... choćby złotówkę..., ale mówię wam, Szloma, jak mnie tutaj żywego widzicie, tak już do was nic nie przyniosę! Tać jest i Mosiek we wsi...

To mówiąc, zabierał się do wyjścia, ale żyd go przytrzymał.

— Czekać! Co mi za pań! — zaraz gniewy... ho, ho! No, bierz pół rubla...

— Mówię wam, że wezmę, co dacie.

— No, Michał, cztery złote... — namawiał żyd.

— Dobrze... ale pamiętajcie, Szloma, że ja chcę rubla... pszenica jak złoto, na nasienie...

— Na nasienie?... Ha! to dam pięć złotych.. Michał weź i nie bądź głupi!

Michał wyciągnął rękę, ale żyd nie dawał pieniędzy tylko zapytał:

— Zgoda na pięć złotych?

— Ja chcę rubla! Ale co się targujecie? — chłop odparł. Dajcie co chcecie... Ja chcę rubla!

Szloma wyjął rubla papierkowego i wsunął z gniewem w rękę Michała, a wypychając go za drzwi, sam za nim do ciemnej sieni wyszedł.

— Worek leży na przyciesi — mówił cicho — a jutro też przyniesie... tylko później, bo teraz jeszcze ludzie nie śpią... mógłby kto podpatrzeć... Dobranoc.

Gdy się drzwi zamknęły cicho za Michałem, Szloma pozostał przy nich, śledząc uchem niewyraźny odgłos kroków odchodzącego.

— A psubrat!... — szepnął do siebie żyd — nie idzie do chałupy... To nocny ptaszek... jeszcze coś miarkuje...

Przechodząc przez sieni, włożył rękę do beczki stojącej w kącie i napełnionej zbożem. Była to właśnie ta beczka do której przed chwilą Ryfka wsypała przyniesioną przez Michała ćwiartkę dworskiej pszenicy.

— Sucha... dobra... — mruknął i, powróciwszy do izby, rzekł głośno:

— Ryfkel nie gasić światła. Tu przyjdzie jeszcze Kacper, a i Michał, zdaje mi się, powróci...

Poczem usiadł przy piecu, ogrzanym przez przylegającą doń, z drugiej strony ściany, kuchnię; wyciągnął nogi, rozpiął hałas, pogładził brodę i, pomyślawszy chwilę, przemówił znów do żony, ale już z cicha i po żydowsku:

— Ryfkel! wiesz ty co? W Morlasie to tak samo, jak w Rozdołach, nowy dziedzic zaprowadził nowe porządki... i wnet się spalił, a Srul propinator zarobił wtedy ogromne pieniądze... Fabryki we dworze to duży dochód dla żydowskiej klaszynie...

— Ny... — poczęła Ryfka, lecz urwała, bo w tejże chwili dało się słyszeć dwukrotne, systematyczne, pukanie do okna karczmy...

— To Kacper poznaję — zagadnęła Ryfka i poszła otworzyć.

Za chwilę powróciła, a za nią wszedł wysoki, tęgi chłop, z czapką nasuniętą na oczy i z podniesionym u popielatej sukmany kołnierzem.

Był to zwyczajny typ gumienego z większego fol-farku.

Blondyn, twarzy pełniejszej, niż zwykli chłopci, nosił on faworyty i wąsy, po których już można było poznać jego stanowisko; u służby bowiem dworskiej wielkość wąsów jest zawsze oznaką niższej lub wyższej godności. W siwych jego oczach przebijał spryt i ten chłopski wyraz, nie bezmyślny bynajmniej, ale raczej zdradzający pracę głowy i pewien stopień zdolności umysłowej. Nos czerwony mówił wyraźnie, że posiadacz jego nie gardził nigdy napitkiem. W całej zaś postawie tego nowego gościa ujawniała się owa charakterystyczna buta, którą chłop nabywa z trudnością, ale raz nabywszy, trudniej jeszcze zatracą.

Szloma wstał i podał rękę przybyszowi.

— Dobry wieczór wam, gumieny... panie gumieny! — zagadnął z ironicznym uśmiechem i ciągnął dalej drwiąco: Jakos nie macie dzisiaj miny... Przegnali was... i za cóż takiego?... Cóżście to zrobili?... Wy myśleliście, że będziecie wiekować w Rozdołach?... Aj, aj!... nic wiecznego nie ma...

— Nie macie co, Szloma, naśmiewać się z cudzej biedy... dziś ja, jutro wy... — odparł Kacper. — Dwadzieścia i pięć lat minęło na Gody, jak człowiek służył w tym dworze... przyzwyczaił się... to i markotno człowiekowi szukać chleba gdzieindziej...

— A nie mówiłem wam nieraz?... nie pamiętacie?... Szloma wie co mówi! Szloma mądry jest!.. Mielicie klucze od spichrza; trzeba było pamiętać o sobie... Ale wyście tak pilnowali, jakby te całe Rozdoły wasze były!... tylkoście, co wlaźło, pakowali w swoje krowy i świuniaki... tfy! Macie teraz...

Żyd urwał, a Kacper usiadł przy stole i zadumał się.

— Ryfke! — zawołał Szloma — dajno gumienemu kieliszek... Niech się napije na ten frasunek, — a zwracając się znów do Kacpra, i chodząc po izbie, mówił dalej: — Albo to raz tak bywało, że jak chciałem wziąć dla szkapę garść koniczyny, albo wiązeczkę siana, toście się darli, na całe gębę!... — a teraz?... Jak bieda, to do żyda!... Jacycie wy, Kacper, mądry!...

Tymczasem Ryfka przyniosła nie kieliszek, ale prawie pełną butelkę; przyniosła też razem utraconą szklaneczkę i postawiła wszystko na stole, rzucając przytem na siedzącego jakiegoś nieokreślone wejście.

Szloma nalał wódki i poprosił gumienego, aby się napił. Kacper, z widoczną przyjemnością, wychylił kieliszek do dna i obtarłszy usta rękawem odsukmany, rzekł:

— Dobra!

Szloma natychmiast nalał mu drugą miarkę.

— Więc wam tak markotno wynosić się z Rozdołów? — zaczął.

— Markotno... już cię że markotno! — odparł zapytany z cicha, nakładając fajkę tytoniem wyjętym z pęcherzowego woreczka. — Aż mi się w głowie majaczy... Pomiarkujcie jeno! Tać ja się tutaj wychowałem od dziecka... Przywykł człowiek i do chałupy, i do ludzi, i do pól, i do każdej drzewiny... i do psa tego, co ujada w podwórzu... Toć i nieraz mi się zdawało, że to wszystko moje... Człowiek zmarnieje, gdy mu przyjdzie odejść od tego wszystkiego... A tak mnie coś we wnętrzu trapi, że sobie nijakiej rady dać nie mogę... Nie chodzi mi o służbę, bo się znajdzie, ale któż mi da to słoneczko, którego tu codzień czekałem, aż z za wiatraka wyjrzy, aby parobków budzić; a gdzieś najdę taką chałupę jak tutaj, i te bzy co przy niej co wiosna tak kwitną?...

Umilkł Kacper i znowu zamyslił się głęboko. Opuścił głowę na piersi, trzymając w ustach fajkę, i błędnym wzrokiem patrzył w dół przed siebie.

Szloma przypatrywał mu się uważnie, a oczy jego nabrały jakiegoś niespokojnego wyrazu i latały po izbie.

Nalał gumienemu trzeci kieliszek wódki.

— A za cóż was wygnali? — zapytał po chwili.

— Za co? za głupotę... Człowiek dał krowinie odrobionę koniczyny, a baba nabrała od młocarni, zamiast plew, owsa, — dalibóg nie widziałem... Zresztą, co to te dwie krowiny i ten prosiak?! — a toć warte aby zjadły, za to że pańskiego doglądam... I za taką marnotę wypędzać człowieka ztąd, gdzie się urodził, wychował!... Toć to gorzej jakby... to gorzej jak gdyby mu życie odebrać...

— To się wie... — wtrącił żyd i napełnił dopiero co wypróżniony kieliszek. Kacper wychylił go duszkiem, jak poprzednie, i podniósłszy oczy na żyda, rzekł doń:

— Poradźcie co, Szloma!

(Dokończenie nastąpi).

NA POSTERUNKU.

Jeden z najcięższych grzechów. — Czy będzie policzony? — Okropność! — Opozycja w Towarzystwie wzajemnego kredytu. — 51,000 rubli straty. — Kto zarywa? — Wniosek p. Maciejowskiego i odpowiedź Jowisza. — Mowa p. Dawida Rozenbluma o... honorze — Nalewek i przeróżnych plejtników. Monolog szlachcica. — Kwintesencja odrzucenia wniosku. — Niepoprawność p. Korpaczewskiego, w sprawie „odnawiania sił”. — Monolog „członka rady”. — Obrażony bezwyznaniowiec. — Czego żąda. — Moja skromna uwaga na temat — czworonogów.

Jeżeli „serdeczni nasi” liczą ściśle — a sędzę że tak jest z pewnością — wszystkie grzechy „Roli”, to za jeden z najcięższych policzonych jej będzie to niedyskretne zachowywanie się wobec przesłanej „gospodarki finansjery warszawskiej”. Gdyby nie ten grzech „Roli”, kto wie czyby nawet ci nieliczni członkowie naszych instytucyj bankowych, o których czytam w sprawozdaniach z posiedzeń, dopuszczali się grzechu — opozycji względem „zarządów”.

Niedawno grzech podobny popełnionym został w Kasie przemysłowców warszawskich, — jeszcze nawet złowieszcze jego echo nie ucichło zupełnie, gdy oto takie samo zgorzienie stało się znowu w Towarzystwie wzajemnego kredytu.

Okropność!

Towarzystwo straciło sobie w tym roku 51,000 rubli. Wielka mi rzecz! Toć wiadomo, że „gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą”. Zamiast więc jednozgodnego hołdu, jaki należało złożyć Zarządowi, za jego genialną gospodarke, dzięki której „zarwano” instytucję tylko... na jakieś marne kilkadziesiąt tysięcy, zjawia się opozycja i woła: jakto! aż tyleśmy stracili? I na kimże to mianowicie ponieśliśmy te straty? Najmniej — wywodzi sobie z zimną krwią niepoprawny pan Maciejowski — na wekslach rolników, więcej już nieco na przemysłowcach, a najwięcej na kupcach. Wprawdzie pan Maciejowski nie dodaje nawet, że na kupcach z Nalewek, Franciszkańskiej, Gęsiej i t. d., ale sam jego zwrot ostatni i akcent położony na wyrazie kupcy wystarcza najzupełniej dla wywołania — obrazy.

I podnosi się tedy finansowy Jowisz i ciska grom w profanów, nie znających się na wyższych kombinacjach kredytowo wekslowych.

— O wy niedołągi, wy tępe głowy! — woła — nie wiecież co to są weksle kupców? Instytucja nasza na tych wekslach stoi; weksle *naszych* kupców to dla nas grunt, podstawa!

— Pięknie to powiedziane — odpowiada p. Maciejowski — ale my, profani, nie jesteśmy w stanie pojąć, dlaczego ci nasi (czytaj: starozakonni) kupcy, których weksle stanowią podstawę „obrotów” instytucji, najwięcej ją zarywają, i dlaczego w dodatku placą procent mniejszy, niż dający stokroć większą rękojmię — właściciele ziemscy. Czyby zresztą nie należało w przyszłości wykazywać w sprawozdaniach poniesionych strat wedle stanów dłużników, to jest: czybyśmy nie mogli wiedzieć, ile też z danej sumy strat przypada na weksle ziemian, przemysłowców i — kupców!

— Gwałtu! co to jest? co się dzieje? — woła „znany mówca”, pan Rozenblum Dawid. — Jakto?! pan Maciejowski chce zdyskredytować *nasze* kupiectwo „takim pustem gadaniem”? On chce rozróżnić dłużników niewypłacalnych według stanów? — a po co to, kiedy teraz jest równość i braterstwo? A *honor* *naszego* kupiectwa, to nie znaczy nic? Miałaby p. Maciejowski być takim .. antisemita, że *honor* *naszych* Moszków, Srułów, Dawidów i różnych innych kupców (plejtników — *przyp. fel.*) nie obchodzi go wcale? Nie, panowie! — my na taką dyfamację *naszego* kupiectwa pozwolić nie możemy, to byłby interes całkiem niepostępowy. To byłoby brzydkie wstecznicstwo, paskudna nietolerancja, i dlatego ja — ja, pan Dawid Rozenblum — żądam odrzucenia wniosku pana Maciejowskiego.

I naturalnie stało się zadość żądaniu „szanownego (a jakże!) mówcy”; nie podniósł się przeciw niemu ani jeden głos, boć szło nie o bagatelę: o *honor* — Nalewek!

— O biedny honorze! — szepcze do siebie jakiś szlachcic, siedzący cichuteńko w kątku — cóż się z tobą dziś stało? Któż ci dzisiaj nie bluźni — czyż ci usta nie wymawiają — jakież szwindle i brudy nie cisną się pod czyste znamię twoje?!... Plejtnicy, spekulanci, machery, lichwiarze, przeróżni lotrzykowie zarywają instytucję z naszej pracy powstałą, za nasz grosz założoną, okradają ją (przepraszam, są to tylko „niewypłacalności” — *przyp. felbet.*) na dziesiątki tysięcy rubli — i nie wolno jest wspomnieć w sprawozdaniu, nie wolno pisać słówka, że w tych tysiącach nie ma nawet setek ziemiańskich. Tak; nie wolno, albowiem byłby to dyshonor dla plejtników żydowskich! (Wzdycha ciężko, ale po cichu.) O, jakież to srom dla nas! Jakichże to dożyliśmy czasów — my prawniki obrońców *prawa* *dziwego* honoru! Dawidowie, Srułowie etc., wchodzą na mównice i lżą nas, i dowa-

dzą publicznie, że czy honor rolnika, czy honor (!) *g e l d m a c h e r a* z Nalewek, to jest wszystko jedno!...

Nie rozpaczaj, szlachcicu! — przerwij monolog desperacki, gdyż „czasy” nie są tak złe, jak sobie wyobrażasz. Honor poszedł wprawdzie w służbę złotych bałwanów, ale zato mamy inne rzeczy piękniejsze: mamy jedność i... *assymilację*. A kiedy ma być jedność, to niech będzie zupełna. Niech nikt nie wie, że nasze instytucje kredytowe zarywają plejtnicy starozakonni, ale niech raczej przypuszczają wszyscy, że to samo co robi żyd lichwiarz, czyni także szlachcic, przemysłowiec polski, i że w ten sposób urzeczywistnia się praktycznie idea — *assymilacji*.

Taką jest kwintesencja odrzucenia wniosku pana Maciejowskiego, a czy sądzicie, że na coś lepszego zasługiwał wniosek innego opozycjonisty, pana Korpaczewskiego? Gdzie zaś! Już to samo, że pan Korpaczewski jest również niepoprawnym, że żąda systematycznie zniesienia kumulacji urzędów w naszych bankach prywatnych, świadczy na niekorzyść wszelkich jego wystąpień. Gdy więc i tym razem zażądał pan K., aby w miejsce wychodzących „członków rady” wybrano innych, *n o w y c h*, zakrzyczał go, jednym wielkim głosem, wielki chór lojalnych wielbicieli Zarządu.

I oto słyszę znowu jak członek rady, czy tam członek zarządu, monologuje:

— Dziwni są ci panowie, dziwną ta opozycja! Oni chcą nowych członków! — rozumiem: chcą rozbić naszą... „klikę”! Ho, ho!... nie tak to łatwo... Marzenie to naiwne. My *d z i e d z i c e* tych banków, nie ustąpimy tak łatwo z zajmowanego stanowiska. Zachciewa się jakiejś tam opozycji nowych żywiołów, nowych sił kierowniczych w zarządach naszych instytucji? Ho! a to po co? Alboż my, zasłużeni, nie mamy siły tak potężnej, że możemy udźwignąć na swych barkach cały ciężar naszego podskarbiostwa? Krzywią się, sarkają wprawdzie na ten, jak oni to nazywają, *monopol*, ale co nam to szkodzi... jeżeli wszyscy ci malkontenci potrzebują także kredytu i znać muszą *mores*? Co nam to szkodzi, jeżeli wiemy, że każdy kto by poszedł za opozycjonistami, przepadłby na zawsze? Nie damy kredytu! — to nasza potężna dyscyplina, przy pomocy której trzymamy wszystko i wszystkich w należytych rygorze. Jesteśmy wszędzie! — wszędzie ci sami — i to właśnie stanowi naszą siłę, przed którą wszystko korzyć się musi. Nie damy kredytu! — nie damy go w jednej, drugiej, trzeciej instytucji, i zuchwalec ginie. Straszą nas opinia!... ha, ha!... a gdzie ona jest? Tam, gdzie jest pieniądz. A gdzie jest pieniądz? U nas... Straszą nas prasa!... Doprawdy, to zabawne! Prasa jest przecież — z nami! Czytajcie tylko sprawozdania z tych posiedzeń naszych, które urządzać trzeba dla zadośćuczynienia hołocie, dla efektu jakiegoś i dlatego wreszcie, żeby nam dziękowano za nasz trud obywatelski. Czytajcie zprawozdania: wszystko, co mówi Zarząd, jest mądre, wielkie, szlachetne, — wszystko, czego chce opozycja, jest i będzie głupie. I bardzo to naturalne, bo dziś, w wieku postępu, tam tylko może być rozum, wielkość, szlachetność, gdzie jest bóg postępu — pieniądz! A gdzie jest pieniądz? Powiedziałem już: u *n a s*. Opinia! prasa! — to nie żaden strach dla nas, to nasze dobre kумы, przyjaciółki serdeczne. One nas rozumieją i umieją cenić; one nas nie potępiają z jakąś tam marną „Rola”, z jakimiś Maciejowskimi etc., lecz wołać raczej będą: *czesć* *wam*, *zani*, *wielcy*, *szlachetni* *p o d s k a r b i o w i e n a r o d u*!

Wielkie to, zaiste, słowa członka zarządu, i któżby śmiał im przeczyć? Co do mnie przynajmniej, ani myślę, zwłaszcza iż w tej chwili mam przed sobą innego interlokutora:

W jednym z poprzednich swych numerów, „Rola”, wspominając o ostatnich, budujących chwilach Szopena, dodała ze swej strony te proste, szczerze słowa: „Tylko dusze małe, umysły, choćby najbardziej rzekomą wiedzą nowożytną wypolerowane, ale tępe w gruncie, tylko serca wyzute z uczuć szlachetniejszych, mogą nie odczuwać potęgi wiary, ani widzieć potęgi błogosławionego jej światła. Tylko też ludzie z takimi właściwościami umysłów i serc, tylko tacy mali mogą żyć i kończyć jak — zwierzęta.”

„Zgroza! — woła w anonimie jakiś obrażony bezwyznaniowiec. Więc każdemu, ktokolwiek nie należy do waszego kabału (?), odmawiacie istoty człowieczeństwa? Cofnijcież, radzę (!) wam, brutalne wasze słowa, albo wy raczej zginiecie „jak zwierzęta”, bez waszych „pociech religijnych” i t. d.

Ależ cofniemy, cofniemy one brzydkie słowa najchętniej, tylko nas pan dobrodziej przedewszystkiem, no... i rozumiem się przed zabiciem, przekonaj, że istoty pozbawione wszelkiej siły duchowej i wszelkich ideałów, istoty idące ślepo za instynktem... natury, że słowem modne dziś wielce istoty... bezwyznaniowe, stoją wyżej i różnią się ostatecznie czemkolwiek od zwykłych — czworonogów... *Kamienny.*

Z CAŁEGO ŚWIATA.

Wpływ Warszawy na cywilizację hiszpańską. — Wielki raut dziecięcy w hipodromie, ale w madryckim. — Jeneralna aranzierka. — Szkoda z jej wyjazdu. — Przykład oszczędności dla pań naszych, czyli groch na ścianę. Łamigłówa. — Właściciel domu i lokator w Paryżu, przykład zbawienay, nie wiem czy dla właścicieli, czy dla lokatorów warszawskich. — Resztki klejnotów koronnych francuzkich, a między niemi sławny Rejent. — Wzór pedagoga, jako ostatni wyraz cywilizacji niemieckiej. — Wypadki w Berlinie. — Koniec przesilenia kanclerskiego. — Stan zdrowia cesarza. — Wybór Boulanger'a w departamencie du Nord. — Stosunek Boulanger'a do bonapartystów. — Ruch chłopski w Rumunii. — Spisek grecki w Macedonii. — Wzburzenie umysłów na Kandyi.

Mój mocny Boże! co też to nie może dobry przykład!... Zapatrzwszy się na rauty i assamble dziecięce, urządzone w Warszawie w Ogrodzie Zoologicznym, w Klubie wioślarskim, a mianowicie i specjalnie w hipodromie, recte w rajtazuli p. Wodzińskiego, Alfons XIII, dwuletni król hiszpański, w asystencji matki swej Krystyny, królowej regentki, postanowił urodziny swoje, przypadające na 27 Maja, obchodzić uroczystie wielkim rautem dziecięcym, urządzonym także w hipodromie, ale już nie u pana Wodzińskiego, tylko w madryckim. Nie wiadomo, czy raut ten wyrówna w świetności warszawskim, to jednak pewna, że zamówiono nań 12,000 pasztetów, 1,500 kilogramów cukierków, zatrzesienie ciastek i owoców, oraz medalioników złotych z napisem: „Pierwsza zabawa dla dzieci w Madrycie“. Napis ten jest jeszcze bardziej pocieszającym aniżeli sam fakt rautu, wskazuje bowiem, że przykład Warszawy nie działał tylko doraźnie, chwilowo, ale wywołał cały szereg objawów, świadczących o przyjęciu się w Madrycie kierunku pedagogicznego warszawskiego; wyraz bowiem „pierwsza zabawa“ świadczy, że po niej nastąpią drugie, trzecie i t. d. i t. d. Co to za tryumf dla nas! No, ale też przynależało, że hiszpanie to wdzięczny i rozumny naród; umięją ocenić wysławiane sobie dobrodziejstwo i sił własnych nie przeceniają. Czują że zrobiliby *fiasco*, więc zapisali sobie z Warszawy na 27 Maja generalną warszawskich igrzysk dziecięcych aranzierkę... Bravo hiszpanie! — straci na tem tylko pewna codzienna publikacja warszawska, w której na czas pobytu tej pani zagranicą zamrze rubryka dowcipów. Dowcipy to wprawdzie dosyć przechodzone, zdarte na „strzępki“, ale zawsze *orientalis generis*. Wielka szkoda! ale cóż robić? Trzeba przecie ponieść jakąś ofiarę dla dobra ludzkości!

Gdybym wiedział że szanowne śliczne moje Czytelniczki zarażą się tak łatwo przykładem niemieckim, jak hiszpanie zarazili się naszym, powiedziałbym, że cesarzowa Augusta, wdowa po cesarzu Wilhelmie I, którą nieboszczyk pozostawił podobno jako tako zaopatrzoną na resztę życia, nie sprawia zupełnie żałobnej garderoby, tylko wszystkie stare suknie swoje kazała przefarbować na czarno. Nol wiem naturalnie o tem, że te panie nasze, które miewają suknie od Wortha, i te z którymi mężowie jeżdżą do Paryża, żeby im kupić „coś niecoś“ z klejnotów francuzkich koronnych, uśmiechną się na to zielono i pogardliwie wzruszą ramionami. Przepraszam bardzo i żałuję mojej lekkomyślności, ale pocieszam się przynajmniej tem, że ta moja historia pruska posłużyć może jeżeli nie za naukę, to przynajmniej za zabawę; można z niej bowiem stworzyć łamigłówkę: „Czem się różni sułtan turecki od cesarzowej Augusty?“ *Odpowiedź*: „Tem, że kiedy cesarzowa odwieczną garderobę farbuję jeszcze i nicuje, sułtan nie może żadnej części ubrania mieć na sobie dwa razy w życiu“. Żałować wypada biedaka, że nie zazał rozkoszy chodzenia choćby w starych butach, — ale tak się to zwykle na świecie dzieje: narozrzutniejszym bywa zwykle bankrut, zwłaszcza w wigilię bankructwa.

A kiedy mowa o bankructwie, to zaraz przytoczę sposób, w jaki sobie radzą zbankrutowani lokatorowie w Paryżu; — może ten przykład przynajmniej znajdzie u nas naśladowców i zjedna mi wdzięczność osób interesowanych. Zastrzegam się jednak, że co do tego przykładu mam pewne wątpliwości etyczne, praktyczność zaś jego u nas zależy będzie od okoliczności odemnie niezależnych. Otóż pewien właściciel domu w Paryżu miał pewnego lokatora, który mu od pewnego czasu, dość długiego zresztą, nie płacił komornego, a wyprowadzić się nie chciał, co, jak wiadomo, zdarza się nie tylko w Paryżu. Otóż on właściciel z onym lokatorem wszedł w układ, spisany jak się patrzy, mocą którego darował mu zaległe komorne, dopłacał mu *cartum quantum* na przeprowadzkę, a od niego otrzymywał nawzajem tylko zobowiązanie, że się w pewnym oznaczonym terminie wyprowadzi, co obok podpisu na układzie, słowem honoru poręczył. Jakoż, gdy przyszedł dzień i godzina, jegomość ów

wyprowadził się najporządniej, najformalniej, pożegnał się z gospodarzem i klucz mu od mieszkania doręczył. Właściciel odetchnął. Ale jakież było jego zdziwienie i przestach, gdy nazajutrz, chcąc obejrzeć, jakie dewastacje zrzucił mu w mieszkaniu tak kosztowny lokator, zastał tegoż lokatora najspokojniej zajmującego mieszkanie, wraz ze wszystkimi swojemi ruchomościami. Chciał mu rzucić z wściekłością zapytanie: z kąd, i jakim sposobem, i jakim prawem wziął się tutaj?, ale gniew i osłupienie odjęły mu mowę. Milczał więc, podczas gdy lokator, który nie był ani zdumiony, ani rozgniewany, tłumaczył się najspokojniej i jasno jak na dłoni, że on dotrzymał i ugody i słowa honoru, gdyż wyprowadził się w terminie — schodami; co jednak nie przeszkodziło mu wprowadzić się napowrót oknem; a że tego rodzaju operacja połączona była z pewnemi trudnościami, że trzeba było używać drabiny i t. p., więc on mieszkania z takim trudem zajętego póki życia opuszczać nie myśli i już się z niego do śmierci nie wyprowadzi...

Lubię wyczerpywać każdy przedmiot do dna, więc skoro potrafiłem wyżej o klejnoty koronne francuzkie, to powiem zaraz, że resztki tych klejnotów, których jeszcze warszawiacy dla żon swoich nie rozkupili, będą figurowały na wystawie powszechnej w Paryżu, w nowego pomysłu szkatułce szklanej, która za danym znakiem zapadać się będzie w zagłębienie obmurowane i stalowemi blachami na wszystkie strony obłożone, a kosztujące tylko 20,000 fr. Między temi klejnotami figurować będzie sławny „Rejent“.

Trzymając się dalej mojej metody, skoro podałem przykład oszczędności niemieckiej, toć muszę przedstawić Państwu i model pedagoga niemieckiego, o którym sobie *per associationem idearum* przypominałem. Niejaki p. Schneider, nauczyciel w szkole żeńskiej w Muszawie, na Morawach, rozgniewany na jedną z dziewcząt, wyciągnął ją z ławki za włosy, rzucił na ziemię i tak ją utraktował, że biedaczkę wyniesiono z czterema złamanymi żebrami, poczem niebawem wyzionęła ducha. Było to oczywiście dziecko słowiańskie. Z tego faktu widzimy, w jakie koryto zwrócił się obecnie kulturtrągerski prąd, zdążający w kierunku siły przed prawem...

Berlin stał się od pewnego czasu widownią wstrząsających w świecie politycznym i moralnym wypadków. Zgon zgrzybiałego cesarza Wilhelma, wstąpienie na tron cesarza Fryderyka, pozorne polepszenie się stanu jego zdrowia, frykcyje kanclerskie, odwiedziny cesarzowej w Poznaniu, a obecnie gwałtowne wzmożenie się choroby cesarza, prawie tuż po sobie jednym nastąpiły szeregiem.

Przesilenie kanclerskie minęło, na podstawie odroczenia małżeństwa księżniczki Wiktorji z księciem Aleksandrem Battenbergiem, szczęśliwe atoli załatwienie tej sprawy traci na znaczeniu wobec groźnych objawów, jakie w chorobie cesarskiej nastąpiły. Wprawdzie ostatnie depeche z Berlina przyniosły nieco lepsze wiadomości, ale jeżeli to prawda, co donoszono, że miejscowe cierpienie poczyna wywierać wpływ rozkładowy na cały organizm, to poprawa może być tylko chwilową i przemijającą.

Boulanger został wybrany deputowanym z departamentu du Nord, pozyskawszy z górą 170 tysięcy głosów. Wybór ten, któremu oportuniści i pewna część radykalistów starała się wszelkimi siłami przeszkodzić, ujawniając bezsilność jego przeciwników, czyni go panem położenia. Jak z tego zechce i będzie umiał skorzystać, niedaleka przyszłość ukaże. Dotąd, uderzającym jest dobre porozumienie w jakim zostaje z bonapartystami, którym zawdzięcza zarówno wybór swój w dep. Dordogne jak i w dep. du Nord. Poparcie jakiego mu jawnie udzielili i całe zachowanie się ich wskazuje, że imperyalisci wiele liczą i obiecują sobie po Boulangerze. Wszak książę Wiktor zapowiedział, że po dokonaniu jego wyboru w dep. du Nord wyda manifest do narodu, — i wydał go też rzeczywiście, ale treść jego jeszcze nas do tej chwili nie doszła.

W Rumunii, po huczku opozycji w stolicy, nastąpił ruch zbrojny chłopstwa na prowincji, który dość groźne przybiera rozmiary; było krawawa starcie pod samym prawie Bukaresztem. Ma to być ruch spóźniony, wywołany przez opozycję.

W Macedonii turcy odkryli szeroko rozgałęziony związek grecki, mający na celu przyłączenie tej prowincji do Grecji. Na Kandyi panuje również silne wzburzenie umysłów podsycane podobno z Aten. Turcy fortyfikują się i wzmacniają swoje załogi na wyspie, a stosunki między Grecją a Portą naprężają się z każdym dniem bardziej.

E. Jerzyna.

KRONIKA BIEŻĄCA

Krajowa i Zagraniczna.

Kościół na Pradze. W tych dniach rozpoczęte zostały roboty około budowy kościoła na Pradze, mianowicie, zaczęto już kopać ziemię pod fundamenta. Przy robotach zajętych jest kilkudziesięciu robotników, a materiały potrzebne do budowy są po części zwiezione.

Ciekawa gospodarka. Przed tygodniem, odbyło się nadzwyczajne posiedzenie akcyonaryuszów Muzeum pszczelniczego, na którym wyszła na jaw nareszcie, ciekawa gospodarka dyrektora tegoż Muzeum, p. Lewickiego. Dość naprzykład wspomnieć, że gdy przy samem założeniu spółki muzealnej, majątek jej czynił 39,997 rubli, obecnie wynosi on zaledwie 31,587 rubli, a nadto, że na tej jeszcze sumie ciąży passywa 5,000 rubli. Tym sposobem, od chwili założenia Muzeum, to jest w ciągu lat pięciu, majątek instytucji, zamiast wzrosnąć—zmniejszył się o 14,000 rubli!

I gdzie się to podziało? Owóż, z uwagi, że p. Lewicki z deficytu tego dość jasno wytłumaczył się na razie nie mógł, wybrana została, na posiedzeniu wspomnianem, komisya rewizyjna, która tę budującą gospodarkę pana dyrektora ma rozpatrzyć bliżej i, na zwołanem znowu umyślnie zebraniu ogólnem, zdać z niej szczegółową sprawę. O zadaniu komisji tej, jak i w ogóle o Muzeum, pomówimy jeszcze osobno.

Spółka chmielarska. Na odbytej w tych dniach, w warszawskim Oddziale Towarzystwa popierania przemysłu i handlu naradzie chmielarzy, postanowiono zawiązać spółkę chmielarską. Wypracowaniem projektu spółki zająć się ma p. St. Zawadzki, — poczem projekt ten ma być ogłoszonym w jednym z pism warszawskich.

Nasz rzemieślnik. Pod tym tytułem „Gazeta Rzemieślnicza“ podaje fakt następujący:

W Sierpeu, podczas ostatniego wylewu, nieszczęśliwa jakaś kobieta z trójgiem dzieci, pod nieobecność męża, została zalana wodą w domu. Wydostała się więc na dach usuwający się z pod jej nóg, i ztamtąd rozzwierającym głosem wołała o ratunek. Niestety, niegodziwi ludzie są wszędzie, więc i tam się znaleźli, a niegodziwość swoją wyrazili w żądaniu od nieszczęśliwej pół rubla za podanie pomocy. Ponieważ kobieta, oprócz ubrania na sobie, nic więcej nie miała, zginęłaby więc niechybnie we wzburzonych nurtach, gdyby nie szlachetne serce rzemieślnika, który oddał przewoźnikom ostatnie swoje pięć złotych. A pomoc ta była nagłą, w chwilę bowiem po wyratowaniu nieszczęśliwych, dom się zawalił.

Widocznie szlachetny ten rzemieślnik był sobie zadowolonym, nie uznającym pozytywnych dążeń „nowego ducha czasu“. Obecą mu też była „moralność niezależna“, jaką się najwidoczniej rządzą owi—przewoźnicy. Cześć wstecznikom takim!

Znowu. „Kuryery“ donoszą o podjętym znowu projekcie zmiany ustawy Kasy zjednoczenia urzędników i oficyalistów drogi Warszawsko-Wiedeńskiej i Bydgoskiej. Ponieważ projekt ten był już raz podnoszonym i wskutek opozycji ogółu uczestników Kasy upadł, przeto upór ów ze strony pewnej, szczerzej liczy jednostek, dążących *par force* do zmiany, wydaje nam się tembardziej już dziwnym i niewłaściwym. W każdym jednakże razie, nie wątpimy, że jak poprzednio tak i tym razem, ogół interesowanych, przez wystąpienie gdzie należy z protestem, zapobiegnie niepożądanym przezeń—reformom. Przecież wola ogółu tego, który instytucji daje byt i składa w niej swój grosz zapracowany, powinna znaczyć więcej, niż zachcianki — jednostek.

Z prasy. Jeden z głównych współpracowników „Kraju“, p. Szyszło wystąpił z redakcyi tego pisma.

A propos „Kraju“: Pan Piltz, widząc, że sprawa samowolnego podpisania nazwiska pana K. Pułaskiego na odezwie, której tenże, jako żywo, nie pisał, przybiera obrót wcale niekorzystny, — przybył umyślnie do Warszawy i, wyjednałszy sobie w „Słowie“ oraz w paru innych jeszcze dziennikach „objaśnienie“, że podpisując cudze nazwisko „działał z pobudek poważnych, w dobrej wierze i z dobrą intencją“ (!), — takie w ostatnim numerze „Kraju“ daje zapewnienie:

„Zadosyćuczynienie to,—mówi on,—ze względu na poważne źródło z którego płynie, jest dla nas najzupełniej wystarczającym“. No, no, jak temu panu Piltzowi potrzeba niewiele dla „zadosyćuczynienia“! I sam pan Pułaski i sześć pism różnych obozów zarzucają mu nadużycie cudzego podpisu, a jemu rehabilitacya (!) gołosłownego, z adnemi d o w o d a m i nie popartego frazesu „najzupełniej wystarcza“. W każdym razie, już teraz nie o p. Piltzu i nie o jego „Kraju“, ale o tej szczególnej etyce dziennikarskiej, gotowej rehabilitować nawet taką... „nieściskość redaktorską“, wartoby pomówić. Toż tu idzie o resztki zaufania publiczności do prasy.

Sztuki plastyczne. Dowiadujemy się, że znany artysta-malarz, p. Tytus Maleszewski, objął nadzór nad pracownią odnawiania obrazów wartości artystycznej, a mianowicie obrazów: kościelnych, galeryowych i portretów rodzinnych. Wobec zbyt często zdarzających się wypadków niszczenia dzieł sztuki przez różnego rodzaju niepowołanych pseudo-„restauratorów“, otworzenie pracowni pod kierunkiem utalentowanego i prawdziwie zasłużonego artysty jest faktem godnym nie tylko zaznaczenia, ale uznania i poparcia. Dodać przytem należy, że pan M., niezależnie od doświadczenia własnego, działalność swoją w tym kierunku opiera na tajemnicach pozyskanych od znakomitego artysty francuzkiego i restauratora obrazów, p. de Laurent, u którego, celem zbadania tej sztuki, przez czas jakiś pracował.

Z teatru i muzyki. Niedoszłe przeszłej niedzieli benefisowe przedstawienie panny Marcella, odbędzie się w teatrze Wielkim w dniu jutrzejszym.

Utalentowany skrzypek, pan A. Kolakowski wystąpił w mieście naszym z dwoma koncertami, zjednałszy sobie jednogodne uznanie krytyki i publiczności.

W teatrze Małym, przedstawiono po raz pierwszy dość lichą trzyaktową farsę (z francuzkiego) p. p. Gastyne i Fougere, p. t. „Życie wspólne“.

Małeńki przyczynek. Z Pułuska otrzymujemy list następujący: „Wiecie już jak ciężka klęska powodzi dotknęła miasto Pułusk; wątpię jednak aby wam był znanym fakt, o którym chciałbym właśnie, choć w kilku słowach, wspomnieć. Oto, podczas katastrofy, mieszkańcy tej dzielnicy miasta którą Narew zalała, zmuszeni byli szukać przytułku u mieszkańców części miasta nie dotkniętej powodzią. Oczywiście, ludność chrześcijańska pomieszczała nieszczęśliwych ze współczuciem i bezinteresownie; żydzi wszakże nieomieszkali i takiej nawet klęski wyzyskać: pomieszczała bezdomnych chrześcijan, ale... z a p i e n i ą d z e. Jest to fakt autentyczny, który sprawdzić łatwo i który niechaj posłuży, jako małeńki przyczynek do oświecenia sprawy „assymilacyi“ i „obywatelskich uczuć“ tych naszych—„mojżeszowych rodaków“.

Zmarli: Ś. p. Zygmunt Wróblewski, profesor uniwersytetu krakowskiego, znakomity uczonec, znany z odkryć (skroplenie gazu) na polu naukowem—zm. w Krakowie, licząc zaledwie 42 lat życia.

Ś. p. Emilian Cz y r n i a ń s k i, również profesor wszechnicy Jagiellońskiej, autor licznych prac z dziedziny nauk przyrodniczych—zm. w Krakowie, przeżywszy lat 64.

SPRAWOZDANIE HANDLOWE.

19 Kwieciana 1887 r.

I z New-Yorku i z rynków europejskich, donoszą jednogodne o wzmocnionem usposobieniu w handlu zbożowym.

W Gdańsku i Toruniu ceny były także mocniejsze, a popyt chętny. Na targach zaś warszawskich, stan rzeczy (korzystniejszy również dla producentów), tak się przedstawia:

Na p l a c u W i t k o w s k i e g o płacono pszenicę wyborową 6.90—7.10, średnią 6.60—6.80, ordynaryjną 6.20—6.30 Żyto wyborowe 3.80—3.90, średnie 3.60—3.70. Owies wyborowy sprzedawano po 2.65—2.70, średni po 2.40—2.45.

Na s t a c y i P r a g a pszenicę wyborową płacono 110—114, średnią 106—108, ordynaryjną 100—102 kop. za pud. Żyto wyborowe 65—66, średnie 62—64, ordynaryjne 59—60. Owies wyborowy 73—76 średni 68—70, ordynaryjny 59—63 kop. za pud.

W handlu o k o w i t ą usposobienie słabe i niepewne ciągle. W Hamburgu płacono w tych dniach: na Kwiecień, Kwiecień-Maj, i na Maj-Czerwiec 20 $\frac{1}{4}$, na Czerwiec-Lipiec 21, na Lipiec-Sierpień i na Sierpień Wrzesień 22 marek za 100 litrów.

Na targu prazkim przy obfitej stosunkowo dostawie bydła stepowego, ceny dosyć wysokie. Za dobrego wołu płacono 108—110 rubli, średnie sprzedawano po 90, liche po 70 rubli.

Na rynkach żywnościowych, w zestawieniu z tygodniem poprzednim, nie zaszły żadne zmiany.

Odpowiedzi Redakcyi.

Ż y c z l i w e m u.—Bezczelna i niedorzeczna to plotka, wymyślona, rzecz prosta, przez s e r d e c z n y c h naszych, którzy niewiadomo dla czego chcą nas gwałtem teraz zrobić męczennikami. W każdym razie, możemy sz. pana zapewnić, że bohater czy bohaterowie w ten sposób napadający, nie wyszliby cało... Zresztą, i na tego rodzaju napaści byliśmy od początku i jesteśmy należycie przygotowani... a wobec tego, nic złego stać nam się nie może. Za słowa sympaty i uwagi szczerze, serdeczne dzięki.

P. P u j d o... w P e t.—Pomyłka sprostowana; zwracanie numerów byłoby zbyt cennym. Raczy je sz. pan udzielić tym, którzyby chcieli zapoznać się z pismem.

H r. X. Z. w M. — Właśnie o ten jeden wyraz, który może być

łatwo zwróconym w inną stronę i źle zrozumianym, może się rozbić wszystko. Bądź co bądź, spróbujemy; za życzliwą pamięć dziękujemy stokrotnie.

Panu A. S. — Dziękujemy; skorzystamy chętnie.

Pani Aniela Chł... w P. — Z firm polskich, jakie sz. pani, zawsze i z zasady chciałaby popierać — wskazać możemy świeżo otwartą (Trębacka Nr. 7) pracownię sukien i okryć damskich p. Paszkowskiego, który przedtem wykonywał roboty, o jakie sz. pani idzie, dla firmy „Herse“. Żądane książki i nuty wysyłamy. Spełnienia łaskawej obietnicy nadsyłania nam faktów z okolicy tamtejszej oczekiwać będziemy.

P. S. Pogorzelski z Gr. — Czyby sz. pan nie zechciał jaśniej nieco sformułować swego życzenia?

P. Bol. Kr. — I owszem, ale tylko w godzinach: między 3-cią a 5-tą po południu.

OFIARY.

Na budowę Kościoła na Pradze:
Ks. Wład. Hord... kop. 50.

REKLAMY.

Biuro Komisowo-Nauczycielskie A. Lewińskiego,

Zielna Nr. 42 róg Próżnej, z osobnym oddziałem **Stręczeń** mając do lokacyi: Nauczycieli, Nauczycielki, Bony różnego wykształcenia i narodowości, Rządców z kaucyami i bez, Ekonomów, Pisarzy, Gorzelanych, Mechaników, Techników, Ogrodników, Gospodynie, Panny służące i t. d., poleca swoje pożyteczne usługi, oparte na dobrem zrozumieniu własnego interesu, na dążności wyrobienia renomy firmy niesieniem usług jakich J. W. i W. W. Chlebobdawcy spodziewać się mają prawo od Instytucyi rządzącej się zasadami. (26—25)

OGŁOSZENIA.

Główny Skład Dywanów

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu),

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki, Kaldry, Dery i t. p. **JUTY** i **WEŁNY** na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki „Zawiercie“. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych 52-16
i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży

I. Jodłowskiego

Bielajska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137

(9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i nożowniczych — oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacje po cenach najumiarkowańszych.

Dla p. p. Właścicieli Lasów.

Zupełnie nowe urządzenia, taksacje, lustrację lasów, oszacowania drzewostanów rębnych, sprzedać się mających, pomiary, uwalnianie od serwitutów, przeprowadza Technik leśny, egzaminowany, według najlepszych zasad teoretycznych i praktycznych pod gwarancją. Ewentualnie przyjmując może Zarząd lasów i Dóbr. Łaskawe oferty przyjmuje **W-ny Kołakowski** w Korytnicy — O. p. stacya Chęciny Drogi Żelaznej Iwangrodzko Dąbrowskiej. (6—4)

Poszukuję (3—1)

Majątku Ziemskiego

z lasem, blisko Warszawy na zamianę domu w Warszawie w szacunku od 15,000 do 200,000. Wiadomość Zielna Nr. 9, m. Nr. 2.

POSZUKUJĘ CHMIELU (3—1)

Zielna Nr. 9, mieszkania Nr. 2.

JEDYNA (3—1)

tylko w kraju specjalna fabryka narzędzi pszczelarskich, przyjmuje wszelkie zamówienia i wykonywa takowe z skuratnością. W. Kowalski. Piękna 64.

Wystawa przemysłowo-roln. w r. 1885. **ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU.**
DYPLOM UZNANIA. **MAGAZYN MEBLI**

ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

w Warszawie, **Flomackie Nr. 6**, — były Hotel Wileński.

Poleca umeblowanie pokojów jadalnych, sypialnych, salonów, i posiada meble od najwykwintniejszych do najkonieczniejszej potrzeby, po cenach możliwie niskich, także wszelkie roboty tapicerskie i dekoracje, podług najświetniejszych żurnali (13-3)

Dep. Przem. i Hadn., St.-Petersb., N. 1360.
Wiedeń Nr. 4932 — Budapeszt Nr. 1528.

Broszurka
bezpłatnie



Gwarancya
15-letnia

„EXSICCATOR“

Osusza wilgoć w domach, zabezpiecza drzewo od **GNICIA** i **Grzybka**. Dezynfektuje. Zastępuje **OLEJNĄ FARBĘ**.
52-15 Inżynier Ritter, *Królewska 39.*

FABRYKA i MAGAZYN

WSZEKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY KONNEJ JAZDY I POLOWANIA

T. L. BREYMEYER, — Warszawa
Królewska Nr. 1, róg Krakows.-Przedm.

poleca
Kufry — Walizy — Torby — Sakwojaze
Płaszcz gumowe — Buty filcowe
Kurtki — Płaszcz i Spodnie skórzane
Torby myśliwskie — Futerały na bron
Portmonetki — Pugilaresy — Portfelgary — Woreczki i t. p.
Wszelkie reperacje uskuteczniają się szybko i dobrze.

SKŁAD GŁÓWNY

HERBATY KARAWANOWEJ Moskiewskiego Domu Handlowego

B. KLIMUSZYN

ul. Niecała Nr. 4.

Poleca wyborową Herbatę pakowaną w Moskwie w $\frac{1}{1}$, $\frac{1}{2}$, $\frac{1}{4}$ i $\frac{1}{8}$ fun. oraz w pudełkach metalowych i drewnianych.
Czarną od rs. 1 kop. 60 do 3 rs.
Kwiatową od rs. 2 kop. 50 do 7 rs.
którą również nabywać można w znaczniejszych składach kolonialnych w Warszawie i na prowincyi.

ODNAWIANIE OBRAZÓW

kościelnych, galeryowych i portretów rodzinnych

pod kierunkiem

T. MALESZEWSKIEGO

przyjmuje się w jego pracowni
ul. Warecka Nr. 3

W razie większego zakresu pracy na prowincyi, mianowicie w kościołach, wysłanym będzie kompetentny współpracownik. (8—1)

Polski Kantor Bankierski

RADZISZEWSKI i S-ka (52-15)

WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

KRÓLOWIE POLSCY

dla młodzieży, poczet z 43-ch portretów litogr. podług rysunków **T. Maleszewskiego**, z tekstem, do nabycia we wszystkich księgarniach i w Redakcyi „Roli“, w ozdobnej oprawie lub na wielkim arkuszu, cały poczet rs. 2 kop. 50. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolfa.

CIECHOCINEK,

Wody Mineralne Jodowo-bromowo-słone,

położone w Królestwie Polskiem gub. Warszawskiej,
otwarte zostaną dnia 20 (8) Maja r. b.

Wody te znane z najpomysłniejszych skutków w chorobach skrofalicznych, syfilitycznych, reumatycznych, kataralnych, skórnych i nerwowych, w chorobach koblet, zapaleniach stawów zastarzanych, obrzmleniach i uszkodzeniach kości.

W miejscu znajdują się hotele i wiele świeżo pobudowanych z komfortem urządzonych domów, restauracye, cukiernie, czytelnie i gimnastyka. Teatr, koncerty i bale, a także orkiestra zakładowa uprzyjemniają gościom pobyt u wód. Spacer pod tętniami nie tylko jest przyjemną rozrywką, ale i wpływ leczniczy wywiera na osoby oddychające powietrzem tętniowem, zbliżonem do morskiego.

Kąpiele solankowe, błotne, tuszowe i parowe z natryskami zimnemi i ciepłemi, odpowiednio są urządzone. Apteka miejscowa dostarcza potrzebnych lekarstw, a oddzielne składy, wszelkich wód mineralnych, naturalnych i sztucznych. Oprócz lekarzy zdrojowych, corocznie przybywa wielu wolno praktykujących i tym sposobem pomoc lekarska dostatecznie jest zapewnioną.

Koleją Warszawsko-Bydgoską dojeżdża się do samego źródła.

(5-1)

Stosowane przezemnie od kilkunastu lat sposoby osuszania mieszkań i niszczenie grzyba drzewnego zyskały tyle uznania, że zmuszony byłem działalność swoją rozszerzyć przez przybranie odpowiednich sił technicznych, które odtąd zaczynają funkcyonować pod firmą:

„GUDRONIT“

A. Ciszewski Budowniczy i Spółka,
w Warszawie, Hotel Angielski.

Broszura „O wilgoci i grzybie drzewnym“ na żądanie wysyła się bezpłatnie i franko.
Agentów na Cesarstwo i Królestwo poszukuje się.

(3-1)

Najwyżej Zatwierdzone

Towarzystwo Wzajemnego Ubezpieczenia na Życie

„NEW-YORK“

ZAŁOŻONE W 1845 ROKU.

Warunki Ubezpieczenia i Kontroli zostały zatwierdzone przez P. Ministra Spraw Wewnętrznych 21 Października 1887 r.

Kapitał gwarancyjny, najzupełniej zrealizowany, wynosił w dniu 1-go Stycznia 1887 r. 161,100,224 rubli. Towarzystwo złożyło do Banku Państwa 500,000 rubli tytułem kaucyki, (w listach pożyczki wewnętrznej z roku 1837 wartości nominalnej 600,000 rubli). Osobny, prawem przepisany, fundusz rezerwowy składa się do Banku Państwa, jako gwarancya Ubezpieczeń w Cesarstwie i Królestwie zawartych.

Czynności Towarzystwa i unormowanie funduszu rezerwowego, podlegają czynnej kontroli Rządu Ruskiego.

Wszelkich objaśnień udziela Biuro Towarzystwa w Warszawie, Plac Saski Nr. 5.

DYREKTOR

na Rosyę Południową i Zachodnią

L. Werner.

oraz na Królestwo Polskie:

Bankierzy w Warszawie.

Bank Handlowy w Warszawie.

A. Rawicz & Comp.

(0-8)

ZAKŁAD WODOLECZNICZY

(3-2)

Apteka — poczta — telegraf
sklepy
dwie restauracye.

„NAŁĘCZÓW“

5 godz. od Warsz., 1 g. od Lublina,
4 wior. od st. dr. Nadwiślańskiej
Nałęczów. Powozy i omnibus na
pociągi pocztowe.

oraz dom zdrowia dla chorych chron. z zastos. elektr., massażu, wód miner., kumysu, mleka i t. d., pod kierown. Dra Konrada Chmielewskiego, cały rok otwarty. Kąpiele zaś żelaziste, borowinowe Nałęczowskie, igliwiowe i wszelkie sztuczne oraz gimnastyka lecznicza od 1 Maja. Urządzenie zakładu wykwintne i wygodne; w sezonie letnim wspólnie z dyrektorem Zakładu Dr. K. Chmielewskim (cierpienia organów trawienia) chorych leczą konsultanci specjaliści: Dr. K. Chełchowski (choroby dróg oddechowych), Dr. H. Nussbaum (chor. nerwowe), Dr. G. Doliński (chor. kobiece), Dr. R. Radziwiłłowicz as. Zakładu. W Nałęczowie leczą się skutecznie wszelkie choroby nerwowe, żołądko-kiszkowe, kataru płucne, osłabienia płciowe, choroby kobiece, bladaczka i t. p. Koszt całodziennego utrzymania z kuracją od 3 rs., w sezonie zimowym ceny znacznie niższe. Bliższych objaśnień udziela na miejscu Administracya Zakładu i w Warszawie apteki: Barcza i Heinricha.

ORGANY

11-o głosowe z pedałem najnowszego systemu do sprzedania w fabryce

L. Blomberg i Syn

Warszawa, — Leszno 65.

(3-1)

SKŁAD ZEGARKÓW

S. POPIELA,

(52-19)

Ulica Elektoralna Nr. 5.

Specjalna Fabryka i Magazyn
BIELIZNY

L. GALKOWSKIEGO

w Warszawie,
Marszałkowska Nr. 133,
róg Ś-to Krzyżkiej.

Poleca — w wielkim wyborze :

Koszule męskie, odznaczające się najlepszym krojem i wykończeniem, Kołnierzyki i Mankiety w najnowszych fasonach. Kalesony, Skarpetki i Szelki, Wielki wybór Krawatów, Szpilek i Spinek najmodniejszych. Chustki na szyję jedwabne i półjedwabne, oraz Chustki do nosa, zawsze w wielkim wyborze. Wyroby trykotowe wełniane i bawełniane. Kaftaniki siatkowe higieniczne, oraz wyroby wełniane D-ra Jaegera.

Wszelkie zamówienia wykończają się starannie i spiesźnie, po cenach stałych, możliwie niskich, p. p. handlującym ustępuje się rabat.

„Najlepszy krój Koszul męskich.“

52—31

TANI POLSKI
Magazyn Bławatny
W. KLECZYŃSKIEGO

Krakowskie Przedmieście 64.

Resursa Obywatelska,

otrzymał i poleca Szanownej Publiczności wielki wybór towarów na sezon obecny, a mianowicie :

Pół wełny od 13 kop. do 35.

Materyały czysto wełniane podwójnej szerokości, po kop. 55, 75, 90, rs. 1, 1.25, 1.50 i t. d.

Materyały czysto wełniane w pasy i kratki od kop. 70 do rs. 1.50.

Kazmiry czarne w wielkim wyborze od kop. 60 do rs. 2 za łokieć.

Korty na damskie okrycia od kop. 60 do rs. 2 za łokieć. Velvety czarne i kolorowe, w wielkim wyborze, na składzie po cenach niskich.

Korty na męskie ubrania od rs. 1.30 do rs. 2.50.

Płótno Jarosławskie na trawie bielone od rubli 7 za pół sztuki.

Bielizna stołowa biała i kolorowa, wyprzedaje się po cenie kosztu.

Oprócz wymienionych wyżej przedmiotów, Magazyn posiada wielki wybór Perkali białych, Półpłótna, Madapolamów, Drelichów kolorowych, Firanek, Kołder pikowych białych i kolorowych i kołder wełnianych.

12—5

NASIONA (6—5)

świeżo sprowadzone, polecają

ESTREICH i PODBIELSKI

Warszawa, Miodowa Nr. 19.

SKŁAD MEBLI 13-7

MAJSTRÓW STOLARSKICH

róg Marszałkowskiej i Zielonego Placu,
Nr. 60 (150 nowy), I-sze piętro.

Pragnąc dostarczyć JJWW. i WW. Panom mebli dobrych, produkowanych we własnych warsztatach, poleca takowe od najskromniejszych do wykwintnych, przyjmuje również zamówienia na roboty tapicersko-dekoracyjne, gwarantując za dobroć towaru i roboty.



SKŁAD WIN (24—7)

J. Lijewskiego i S-ki

Krakowskie Przedmieście Nr. 6,
(wprost Kościoła Ś-go Krzyża).

Mianowany przez Prześwietny Konsystorz Generalny Warszawski przysięgłym dostawcą win do Ofiary Mszy Ś-tej, donoszę uprzejmie, iż chcąc godnie odpowiedzieć położonemu we mnie zaufaniu — zaopatrzę piwnice w czyste i wystające wina Węgierskie, odpowiednio do użytku kościelnego i sprzedaję takowe na butelki, garnce i beczki.

Oprócz tego pozwalam sobie zwrócić uwagę Szanownych Odbiorców na wina w beczkach z zapasów dawniejszych, a mianowicie z roku 85-go — jako z ostatnich lat dla win Węgierskich najkorzystniejszego — w bogatym wyborze gatunków i smaków, odstępując takowe, przy możliwym małym zysku, po cenach hurtowych.

W końcu nadmienić sobie pozwalam, iż piwnice składu zaopatrzone są w liczne i wyborowe gatunki win Węgierskich w butelkach, tak wytrawnych, jak maślaczy, odznaczających się czystością jagody i w skutek tego zdrowych i posilających, oraz w wszystkie inne wina zagraniczne z renomowanych domów, jak Francuskie, Reńskie, Hiszpańskie i t. d.

Szczegółowe cenniki na żądanie franko i bezpłatnie.

Nowo otworzona Fabryka Polska
TKANIN METALOWYCH

uraz

wszelkich Wyrobów Drucianych (52-11)

E. CHRZANOWSKIEGO,

W WARSZAWIE,

Belańska 16 (12) dom p. Zawiszy.

Poleca: Siatki ochronne przeciw muchom i wszelkim owadom, przy otwarciu obien, Siatki druciane dla fabryk papieru, cukrowni, krochmalni, cykoryli, cementu, młynów, suszarni, dla browarów, gorzelni. Wszystkie przybory pszczelnicze. Sita do koniczyzny białej i czerwonej, specjalnie przemyślane ulepszone, które oczyszczają bakke, kantarę i szczawik; za sita te, mimo konkurencji, ja jeden zostałem zaszczycony nagrodą. Cena trzech sit do koniczyzny czerwonej rs. 3 kop. 70, a trzech sit do białej rs. 3 kop. 30. Sita do czyszczenia wszystkich zbóż z groszku, kukułki i kostrzewy. Liny do transmisji. Materace druciane, elastyczne do łózek, arfy do ziemi i zwiru, cylindry do czyszczenia zboża i rasy, oraz wszelkie wyroby galanteryjne, manekiny do uplania sukien, tak druciane jak i parzykie od rs. 4, które się rozsuwają podług wzrostu i tuszy. Pudła francuskie do noszenia sukien. Fabryka przyjmuje ogrodzenia ogrodów i kłobów oraz płotów drucianych, po cenach nader niskich

Krawiec (52—10)

M. CHMURCZYŃSKI

w WARSZAWIE

róg Nowogrodzkiej i Marszałkowskiej Nr. 94 nowy,
na dole w podwórzu po prawej stronie.

Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakresie krawiectwa wchodzące, oraz wykonywa wszelkie odnówki jesienne i zimowe palta, sakpalta, surduty, tużurki, zakłady, marynarki, spodnie, kamizelki i t. p., i takowe oczyszcza z plam i brudu, obszywa taśmą, podszywa podszywki, nicuje, reperuje, zmienia aksamitne kołnierze, guziki i odprasowuje, jak najakuratniej, po cenach bardzo niskich.

Treść numeru : Lichwiarze warszawscy. (Szkice z życia) VI. — Przegląd spraw ziemiańskich — Francya zżydziała (d. c.) — Na wyspie Zelandyi; z notat podróznego przepisał St. Piast. — Szłoma z Rozdołów, przez Wincentego hr. Łosia. — Na posterunku, feljton Kamiennego. — Z całego świata. — Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna. — Sprawozdanie handlowe. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia. — **W odcinku:** „Narwańcy“, powieść przez T. Jeske-Choińskiego (d. c.)

Redaktor i Wydawca **Jan Jeleński**. Дозволено Цензурою. — Варшава 7 Апрель 1888 г. (Drukiem „WIEKU“ Nowy-Świat N-r. 61)